

1873. XVII. 88.


BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
GRACOVENSIS

34520

P

nam

Boga Hodzico Dzieciwo Bogiem slawiona Maryjo

Twego Syna Chrzeciela Zhożny czas!



ROK WIEJSKI.

Książeczka zielonoświątkowa.
1860.



ROK WIEJSKI.

Rocznik I. z 1

Książeczka
zielonoświątkowa.

GNIEZNO.

Nakładem i drukiem J. B. Langiego.

1860.

779681



34.520.T

1

Biblioteka Jagiellońska



1002482254

1(1860), 1

Na początek!

Kiedy świat się zaburza, my starym zwyczajem,
Pod wichry i zamiecie skibę ziemi krajem.
Nie wielkie nasze czyny, nie wyniosłe cele,
My przy rodzinnym polskim zasiadłszy popiele,
Ostatnią iskrę ognia kryjemy przed słońcą,
Iskrę nazwaną starą ojców naszych cnotą.
Otulamy ją skrzętnie, by jój deszcz nie zalał
I wicher nie rozrzucił, co się tak rozszalał.

Nie nam pochwały świata, nie nam płonne
zyski,
Ani nawet przychylnie przyjaciół uściski;
Nagrodą naszą całą ta jedna myśl czysta,
Że, z tych naszych zachodów przyszłość coś sko-
rzysta;

Że gdy iskierki drobne kiedyś tam rozploną,
Rozjaśnią się te oczy, co dziś we łzach toną.

Siądźmyż tedy do koła ludzie bez na-
zwiska,

Oto ostatek niegdyś wielkiego ogniska,
Iskry drobne żyjące pod ługu pokrywą.
Jak serca prostych ludzi świecą się tak żywo.
Błogosławione resztki świętego zapachu

Bez czuwania, bez straży, zgasłyby pomału.
Czuwajmyż dnie i noce, a w straszne zawieje,
By złe duchy odpędzić wzbudźmy stare dzieje,
I powieścią ojczyzną, serdeczną, jedyną,

Napójmy młode usta, by piersią matczyną.

Starą ojców modlitwę zanuemy strażnicy,
Pieśń strażniczą narodu do Boga Rodzicy,
I choć niegodni łaski dla naszych bezprawi,
Ufajmy, że się oko Boże rozłaskawi.

Chociaż za życia samą nędzę weźmiem w po-
dział,

Mniejsza; byle Pan dzieci te nasze przyodział,

Na te ubogie kości wejrzał z wysokości

I pożalił się łez tych i takiej młodości.

Poczynajmy już tedy a zgodnie a święcie,
Żeby się uciezsyły serca na zaczęcie.

Oto polska kraina! Patrzcie jakże mało,
Lecz razem jakże wiele jeszcze nam zostało:
Miłość rodzinnej ziemi, czyste serce ludu,
Które próżno się kuszą pociągnąć do brudu.
Mogą piersi rozedrzeć, wewnętrznosci obrazić,
Mogą przebić to serce, lecz nie mogą skazić.
Bo nad tą polską rolą, nad tém szarém polem
Myślami zaoraném, zawleczoneń bólem,
Nad tą grzędą ubogą, którą kmieć użyznia,
Unosi się w powietrzu ta błogość ojczyznia,
Co obejma ich w koło ową mgłą leciuchną,
W której i krzyki wrogów i łzy własne głuchną;
Mgłą ziemi, z ojców kości wychodzącą parą
I pobożnym śpiewaniem gorejącą wiarą.
Bo nasz ubogi naród w serdecznej zadumie
Ojczyste głosy słyszy nawet w sosen szumie,
I w tej przeciągłej pieśni rodzinnego drzewa,
Odgadnie, że to matka ojczyzna mu śpiewa,
Na taką smutną nutę, przeciągłą, powolną.
I z szumu sosny kmiotek pieśń układa polną,
W której jakby w jeziorze uroczu i składnie
Myśli polskie jak rybki złote płyną na dnie.
Tęsknota zapleciona z wesołością w parze,
I siła pracowitych wołów na obszarze,

Co to pociągną pługa za pomocą Bożą
I w pracy nie ustaną, pókad nie oborzą.
Rola ta pooczysta zлана ojców znojem,
Sprawia, że kmieć przechodzi przez życie prze-
bojem.

Nędze, chłody i głody i wrogów pośmiechy,
Przywiązany, by czarna jaskółka do strzechy.
W jedném tylko opuszcza gniazdo swe zdarzeniu,
Kiedy kraj cały stanie do koła w płomieniu.
Drobiazg domowy, żonę i matkę sędziwą,
Obejma narobioną tą ręką pocziwą
I Bogu ich oddaje, którego źrzenica
Co rano się nad chatą wieśniaczą rozświeca,
Owém niebieskiém okiem długim i szerokiém
Czasami by powieką owianém obłokiém,
Czasami błyskawice gniewu rzucającém,
Ale zawsze ojcowskiém, zawsze kochającém, —
I rusza na robotę, bo tak rodzic kazał,
Który złą wolą nigdy swój duszy niezmazał.

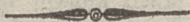
Takim ludziom przynosim pociechę świę-
teczną,
Pieśń rodzinną z pod serca wyjętą, serdeczną,
I o Polsce gadanie, o tój bardzo dawnój,
Poświęceniem bogatój, mogiłami sławnój,

I to nasze śpiewanie chrzcimy przy chrzcielnicy,
W obliczu matki Polski i matki Dziewicy.

Idźże więc praco nasza a zrządzenie Boże
Jak sierota po świecie, choć chmurno na dworze
I wrogi się rozsiadły w bezpiecznych rozdołach,
I wicher dopuszczenia szumi po drzew czołach.
Idź i niezważaj na nic chrzczona świętą wodą,
Masz być czerstwą i silną, masz mieć ufnosć
młodą.

Czoło wypogodzone, przeciw światu śmiałe,
Nie wytarte obłudą — nie miedziane — białe.
Masz się ważyć na wszystko, bez płaczu, bez
jęku,
Z krzyżem wzniesionym w górę, jakby z mieczem
w rękę,
Bez owych piór tęczowych niebacznój uludy
I bez próżnej przechwałki, że masz czynić cudy,
Idź praco nasza kmieca — hasło twoje trudy.

Teofil Lenartowicz.



Boże Ciało.

Dzwonią w kościelne dzwony, lud się tłumnie przesuwa — biją w kotły — obrazy w pięknych wieńcach — chorągwie w kwieciu — kościół cały w maju — ołtarze rzesisto oświecone — całe ulice i domki jakby ogrody przybrane — młodzieńcy i panny ustrojone, matki i ojcowie w uroczystych sukniach z światłem i nabożnym śpiewem postępują; a pośród tych serc gorejących miłością, a pośród tych dusz kwitnących wiarą i cnotą, i pośród tego tłumu rozmaitego ludu unosi się w rękę kapłana jakby słońce na niebie, Najśw. Sakrament w złocistych, promieniach, przed którym już z tysiąc serc i ust brzmi ta wielka, uroczysta, katolicka i staropolska pieśń: *Tvoja cześć chwala!* Aż wreszcie jako na niwach bujne i pełne kłosa na powiew wiatru do ziemi się ścielą, tak cały wierny lud na odgłos hymnu głowy swoje kornie

schyla i na kolana do ziemi pada serdecznie i nabożnie wysławiając: *Pokłon i pienię, my twoi służby!*... O Bracia! wy wiecie, co to za uroczystość? To uroczystość Bożego Ciała — to processya Bożocielska! — to uroczysty tryumf Pana całego świata — coroczny obchód miłościwego Jezusa po naszych wioskach i miastach! Ten Pan i Bóg nasz wstępując chwalebnie do nieba rozpoczął tam processyą wiecznej chwały pośród Aniołów i Świętych, pośród światłości i blasku majestatu swego, pośród radosnych śpiewów Chorów Anielskich i swoich wybranych — a tutaj na ziemi zostając między nami pod osobami chleba ukryty, obchodzi uroczystość ulice nasze i domki nasze, aby nam błogosławić — błogosławić na wschód dzieciom i poczynającym dzieło zbawienia, aby wzrastali w niewinności i łasce Bożej — błogosławić na zachód starcom dogorywającym i dokonywającym dzieła Bożego, aby kończyli w łasce Bożej i pełni zasług — błogosławić na południe sprawiedliwym, aby pośród upału utrapień i pokus nie ustali w dobrem — błogosławić na północ grzesznikom, aby z ciemności błędów i grzechów wychodzili i duszę swoją od wiecznej nocy ratowali.

Kościół św., ta matka wszystkich wiernych, zna dobrze, jak wielki skarb posiada, i jak wielkie dobro odebrał od Zbawiciela swego w Najśw. Sakramencie, i dla tego chociaż w ciężkim smutku i boleści z męki Oblubieńca swego najmilszego, Jezusa Chrystusa pograżony, na widok tego Najśw. Sakramentu w Wielki-Czwartek orzeźwia się

i radością niebieską uniesiony, przerywa niejako swój głęboki smutek i żalobę, rozplywając się wdzięcznością i miłością przy tym Sakramencie miłości; lecz to wszystko dla jój miłości i wdzięczności nie dosyć, to wszystko jeszcze ją nie zaspakaja!... Chociaż ten Najśw. Sakrament tak często uroczyste na ołtarzach swym wiernym dzieciom wystawia, przy wielkich odpustach z pobożnością i okazałością około kościołów w processyi obnosi, i czasu 40 godzinnego nabożeństwa po tylu kościołach pośród rześnisteo światła i uroczystemi modłami wystawuje, to wszystko jeszcze dlań za mało — oto duchem Bożym natchniony i objawieniem świątobliwych Dziewic Julianny i Ewy utwierdzony przez Urbana IV. r. 1264. i Klemensa V. r. 1311. rozporządza i ustanawia po całym katolickim świecie nową szczególną Uroczystość na cześć Najśw. Sakramentu, która nie w jednym dniu kończyć się, ale przez całe ośm dni trwać powinna, nie w zamknięciu ciasnych kościołów, lecz publicznie pod otwartem niebem, — aby z tym tryumfem i chwałą, której Jezus Chrystus w niebie używa, łączyły się tryumfy i chwała, którą odbiera od swych wiernych na tej ziemi — pod otwartem niebem, pośród domków naszych, po ulicach i drogach wiosek i miast, bo On to jest naszą drogą do nieba, ten sam, który nam tutaj wioski i miasta, domki i chatki daje na doczesne pomieszkanie, niebo nam stworzył, a w niem wiele przybytków i pomieszkań dla nas męką swoją wysłużył i nagotował, jeżeli tego przez życie pobożne go-

dnymi się staniemy, jeśli tutaj mu nie tylko ciałem, ale i sercem i życiem towarzyszyć będziemy. —

Niegdyś w Starym Zakonie obnoszono uroczyście i z nabożnym śpiewem Arkę przymierza, w której spoczywała manna, prawo Boże i cudowna łaska Mojżeszowa, król Dawid płąsał przed nią z radością i duchem Bożym napełniony, wyśpiewywał z całym ludem Izraelskim — dziś my obnosimy w processyi Najśw. Sakrament, w którym ta manna niebieska nierównie zacniejszą, bo ręką Boską zrobiona, ten chleb żywota Jezus Chrystus Bóg-człowiek ukryty zostaje, jako Zakonodawca nowego prawa miłości. — Niegdyś Jezus Chrystus między ludźmi bawiąc, przechodził wsie i miasta, a rzeszy ludu towarzyszyły mu, mnóstwo chorych, ślepych, trędowatych i od czarta opętanych odbierało łaski i dary od Pana Jezusa — trwała ta miłosierdzia niejako processya przez trzy lat, a Jezus przeszedł jako to słońce wszystkim dobrze czyniąc. Znamy z Ewangelii św. i tę najuroczystsza chwilę, w której Jezus Chrystus przed męką swoją tryumfalnie na osielku do miasta Jeruzalem wjeżdżał, i słyszeliśmy nieraz w kościele św., z jaką radością, z jakim śpiewem, z jaką pobożnością rzeszy ludu i niewinne dziatki Pana Jezusa pod ten czas przyjęły: Kładli szaty swoje na drodze: a drudzy obcinali gałązki z drzew i na drodze ślali. A rzesze, które uprzedzały i które pozad szły, wołały mówiąc: *Hosanna Synowi Dawidowemu: błogostawiony, który idzie w Imie Pańskie: Hosanna na wysokościach!* (u Math. św.

r. 21 w.). Faryzeusze tylko pyszni, zazdrośni, nienawistni, obłudni i bezbożni gorszyli się z tego i zgrzytali zębami od złości na to. — To więc, co wybrany lud Izraelski z wdzięczności za otrzymane łaski czynił — co czyniły rzeszy ludu, gromadząc się około Jezusa Chrystusa, nie tylko prawdziwego człowieka ale i prawdziwego Boga, już to aby mu za dary dziękować, już to aby nowe otrzymać, podobnie i Kościół św. czyni, to uroczyste nabożeństwo urządza i wszystkich Wiernych wzywa, aby Zbawicielowi Panu w Najśw. Sakramencie drogę zabiegając, nie suknie z siebie, lecz serca swoje pod nogi jego składali, palmę zwycięstwa nad sobą samym i gałązki oliwne pokoju i pojednania się przynosili. — On to bowiem w tym Najśw. Sakramencie nasz Pan i Król, Bóg i Zbawiciel, który jako niegdyś z nieba przyszedł na tę ziemię, a Aniołowie mu wyśpiewywali, pastuszkowie się kłaniali i królowie swe dary i serca ofiary składali, tak w ten dzień uroczysty wychodzi z kościoła do domków i chatek naszych, abysmy go z równą prostotą, wiarą i pobożnością przyjmując, uroczyście wyznawali go Panem i Bogiem naszym i od niego łaski i błogosławieństwa odbierali. —

O co to za szczęście nasze, i jak wesola to dla nas uroczystość! „Wielu bieży (jak pobożny Tomasz a Kempis pisze) na rozmaite miejsca dla odwiedzenia Relikwii świętych: dziwią się opowiadaniu ich czynów, oglądają wspólnie kościołów budowy, i całują zawinione w jedwabiach, i złocie kości ich święte. A oto tutaj dla ciebie w Najśw.

„Sakramencie jest przytomny sam Bóg twój, Święty Świętych, Stwórca wszech rzeczy i Pan Aniołów. — Tam wie-
„dzie często ludzi ciekawość widzenia, czego nie widzieli;
„a mały odnosi się owoc poprawy, zwłaszcza gdy się
„lekkomyślnie bez prawdziwej skruchy zgromadza. Tu
„zaś w Sakramencie ołtarza cały jest obecny Bóg twój i
„człowiek Jezus Chrystus: a ktokolwiek go z godną i na-
„leżyłą skruchą przyjmuje, ten odnosi obfity owoc wiekui-
stego zbawienia“ (Ks. IV. r. 1). Jezus Chrystus jest
w Najśw. Sakramencie ten sam, co i w niebie, ale bez
blasku chwały — i jako na krzyżu, ale bez boleści; a ja-
ko na niebie jest twoim kapłanem i na krzyżu twoją o-
fiarą, tak jest w Najświętszym Sakramencie, jak św. Am-
broży mówi, twoim kapłanem i twoją ofiarą razem. —
Jezus Chrystus między nami! o co za radość i co za ra-
dosna uroczystość! Ten sam, który niegdyś nauczał i
uzdrowiał i błogosławił i wszystkim dobrze czynił; ten
sam, który za nas umarł, a teraz w niebie jest naszym
Pośrednikiem, a więc z tą samą miłością i dobrocią —
ten sam między nami! I ty człowieku możesz pójść do
niego, ty ubogi, smutny, pokusami dręczony, słaby, nie-
śmiały i jakkolwiek cierpiący, aby się tam przed nim
użalić i wyplakać — z pewnością znajdziesz tam serce,
które tobą nigdy nie pogardzi i ciebie nigdy nie odrzuci.
Twoje ubóstwo i twoja nędza, które ci przystęp do ho-
gatyh utrudniają, dają tobie właśnie prawo do niego, i
ten sam Bóg, który niegdyś pośród piorunów i błyska-

wicy swoje prawo na górze Sinai dawał, do którego sam najwyższy kapłan i to raz w rok pośród wielu obrzędów mógł się zbliżyć i stanąć w Przybytku Najświętszego — ten oczekuje ciebie pełen miłości, owszem sam wzywa ciebie: Przychódźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę (Math. 11). — Tutaj nie potrzeba żadnych obrzędów, tylko prostoty serca i szczerzej chęci, aby od niego otrzymać wszystkie łaski. — Jeszcze więcej — w tę uroczystość wychodzi sam Jezus Chrystus w tym Najśw. Sakramencie, a kościół św. ukazuje nam go przez wiarę jako najpiękniejszy kwiat nazaręński — piękny niewinnością swoją, czerwony we krwi miłością swoją, abyśmy mu wieńce z kwiatów splatali i sami się przybierali w kwiaty cnót wiary, miłości, pokory, uszanowania, żeby i On nas wieńcem łask i błogosławieństw otoczył, a kiedyś w niebie chwałą nieśmiertelną uwieńczył. — On to ten ogień, który z nieba spadając ukrył się w tym Najśw. Sakramencie, i dla tego zapalamy mu światło, aby on nas oświecał nauką swoją i miłością zapalał serca nasze do żywota wiecznego. — On to to drzewo żywota pełne kwiatów i owoców niebieskich, aby nas suche gałązki łaską ożywić i od wiecznego spalenia i przeklestwa ratować, i dla tego umajamy kościoły i ołtarze jego przyozdabiamy zielonemi drzewami. — On téż nasza nadzieja i chleb z nieba, który, gdy błogosławi na polu ziarnu, aby rosło i rozmnażało się na wykarmienie twego ciała, sam się cudownie rozmnaża w ręku ka-

plana, aby duszę twoją karmić na żywot wieczny. — On to ten skarb najdroższy, w którym wszystkie dary i wszystkie błogosławieństwa zamykają się, i dla tego wynosi ci i ukazuje w tę uroczystość kościoł św. ten najświętszy Sakrament, abys z wiarą, miłością i pokorą, zbliżając się do niego i pokłon mu winny oddając, odbierał jego dary, łaski i błogosławieństwa.

Świadczy nam Pismo św., że wół i osieł acz nierozumne zwierzęta poznali Pana swego w żłóbku narodzonego, a wieleż to dziś ludzi, którzy Pana swego w najświętszym Sakramencie nie poznają, chociaż wiara św. upewnia i cuda niezliczone tę prawdę potwierdzają? — i jeszcze na domiar swego nieszczęścia chępią się z rozumu i wielkiej mądrości! — Ach niestety! są nawet między katolikami ludzie, którzy tak mało wiary mają, a może jeszcze mniej rozumu, że śmieją to ganić, co tak świętym, słusznym i sprawiedliwym jest w kościele Bożym. — Jeśli spojrzym na ten ogromny świat i wglądnim w to życie ludzkie, o jak wiele znajdziem procesyów i obchodów? — dalby Bóg, żeby choć połowa ich na świecie odprawiała się z Bogiem i do Boga! o jakby był świat szczęśliwy! — Lecz na co daleko chodzić, obejrzyj się w twoim domku i zapytaj się: czyliż twoja córka, kiedy dostanie nową piękną suknię, nie rada w niej innym się pokazuje? a oto tu najpiękniejsza sukienka, którą nam tak bardzo zaleca Paweł św.: (Rzym. 13. 14.). Obleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa! i w którą jeśli za życia pilnie przestrajac się będziesz, w niebie zajaśniejesz jako

gwiazdy i słońce, a jakoż téj tak kosztownej sukienki t. j. Jezusa Chrystusa nie ukazywać ludziom? — Jeśli gospodarz ma piękną pszeniczkę lub żyto, o jak rad to pole obchodzi, innym pokazuje i cieszy się, a oto tu najpiękniejsza pszeniczka, o której pismo św. mówi; że rodzi dziewice — jest to najświętszy Sakrament, a jakoż się nim nie cieszyć? Jeśli dobra matka, kiedy ją Bóg obdarzy piękném i dobrém dzieckiem, to tak się z niém nosi, pieści i zabawia, a tu najpiękniejszy z synów ludzkich, o którym Prorok Pański powiedział: Maluczki dany jest nam, abyśmy maluczkiemi byli w złości, a dużymi w cnoty — a jakoż go nie obnosić w radosnej processyi? — Wiernego przyjaciela jeśli masz w gościnie, lub dobrego krewnego z daleka przyjmiesz w twój dom, czyli go nie oprowadzasz około domku twego i gospodarstwa, i czy mu nie pokazujesz z radością wszystko co masz? A oto tutaj pośród nas gości wierniejszy tobie, jak każdy inny przyjaciel, bliższy tobie, jak którykolwiek krewny, i z daleka a bardzo z daleka, bo aż z nieba przychodzi do ciebie w gościnę, a tym przyjacielem tak wiernym tak kochającym, który dzień i noc mieszka pośród nas i na twe pokorne wołanie pospiesza niejako sługa do ciebie, kiedy zachorujesz, czy w dzień, czy w nocy, pogoda, czy słota, blisko, czy daleko, a to jest Bóg-Człowiek, Pan nieba i ziemi Jezus Chrystus, a jakoż mu nie masz ustroić twego domku, twoje serce i duszy nie otworzyć, twoich dziełek i gospodarstwa nie ukazać? szczególnież że to wszystko masz od niego i przez niego? — Czyli nie przyj-

miesz do domku twego Ojca twojego, lub będziesz zimny i obojętny, kiedy cię nawiedza twoja dobra matka? Jezus więcej cię kocha, niż najczulsza matka, i bardziej się o twoje dobro troszczy, aniżeli najlepszy ojciec — i dla tego ciągle nie ustaje wołać i wzywać ciebie do siebie tak usilnie i serdecznie, a ludzie co mu po największej części odpowiadają? Oto to, co Ewanielia ś. już dawno wspomina: (S. Łukasz r. 14.) Jedni: kupiłem wieś i mam potrzebę wyniść, a oglądać ją — mam gospodarstwo, mam dom i rolę, muszę pilnować. — Druzdy: kupiłem pięć jarzm wołów i idę ich doświadczać, — mam handel, mam zarobek, i nie mogę odejść — inni znowu: Żonęm pojął, mam dzieci i z kim je zostawię? — Żądza majątku, chciwość zysku, troski ciała i uciechy zmysłowe oto powszechne i dziś wymówki! Lecz cóż ci pomoże, że twoje interessa szczęśliwie zakończysz, twój majątek zaokrąglisz, twoje dzieci zabezpieczysz i twój urząd świetnie dopełnisz, jeśli na wieki to wszystko stracisz i staniesz się ofiarą wiecznego gniewu Bożego? — Człowiecze, czyliż cię więcej obchodzi twoja rodzina, kilka talarów, kawał ziemi i t. d., aniżeli twoja nieśmiertelna dusza i jej wieczność szczęśliwa i nieszczęśliwa? — Mówią ludzie powszechnie, że nie mają czasu, a częstokroć nie wiedzą, co z czasem robić i — po prostu nie chce się — bo na wszystko mamy czas nawet na grzeszenie i obrazę Boga, tylko dla Pana Jezusa, tylko dla duszy zbawienia, co ma być najpierwszém, nie ma czasu, — próżne wymówki! idziesz na targ, na chrzciny,

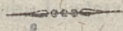
na wesele i z kim dzieci zostawujesz? Siedzisz w karczmie i kto gospodaruje w domu? a jeśli leżysz pijany, kto zarobkuje? O ślepoto i głupoto nasza! od niczego się tak niewymawiamy, jak od najmiłościwszego Pana Jezusa! — u drzwi Pana lub urzędnika będziesz stał pół dnia dla kilku groszy — godzinami siedzisz przed sądem dla sprawy jakiej, procesu może nawet niegodziwego — na jarmak powlecesz się, choć ślota i błoto i daleko, aby co sprzedać lub kupić, a może miasto tego tylko się upijesz i pobijesz z sąsiadem lub pokłócisz z żoną — tylko do Pana Jezusa nie masz czasu — otóż i dla ciebie nie ma u Pana Jezusa łaski i błogosławieństwa — pracujesz i niczego się nie dorabiasz, bo bez Boga pracujesz — żyjesz bez pociechy, bo bez łaski Bożej — alboż z ciebie ma Bóg jaką pociechę? — Wszędzie pełno ludzi, owszem nie raz nawet gadają, że za wiele teraz na świecie ludzi, czemu? zaraz odpowiem: Pełno ludzi około dworu, pełno w sądach, pełno w gościńcu i szynkowniach, targi pełne, na weselach, na muzykach w niedzielę i święta to aż się duszą, tylko kościoły próżne — niech przyjedzie komedia do wsi — niech zarzępoli w karczmie muzyka, niech prowadzą jakiego nawet złodzieja, to wszystko się zbiega z ciekawości, wszystko się tłoczy i starzy i młodzi, wszystko się ciekawie pyta, co to? Tymczasem prowadzą Pana Jezusa w procesyi przez całą oktawę, i nie masz niekiedy jak kilkoro ludzi. — Nieraz tylko kapłan, kilka babek i staruszków szpitalnych i organista, który wyśpiewuje i przegrywa, bo płatny, a tych, którzyby zapłaty Pana Je-

zusa szukali, o jak mało! i cóż dziwnego, że za wiele ludzi złych, bo dobrych i pobożnych za mało! Żeby dziś Pan Jezus sypał pieniędzy, sądzę żeby kościoły były przez tę Uroczystość za ciasne, ale, że sypie łaski, które nam żywot wieczny zapewniają, dla tego próżne, bo więcej dbamy o pieniądze, aby to życie doczesne utrzymać, aniżeli o łaskę Boga, aby duszę zbawić. — Co pomoże, że dasz wianuszki i ziele na Boże Ciało poświęcić, jeśli twój duszy Panu Jezusowi nie poświęcasz, jeśli w twym sercu nie pachnące wianuszki cnót, ale chwasty, ciernie i dzikie zielska rozmaitych grzechów?... Co pomoże, że nawet ze zgorszeniem łamiesz gałązki i chwytasz liście maju około ołtarzy na procesyi, jeśli z życia twego nie obcinasz suchych gałązek, tych złych nałogów kłótni, obmowy, przekleństwa, rozpusty połączonych z pijaństwem, lub łask Bożych z tego naświętszego Sakramentu na twoje zbawienie brać nie chcesz? — Nic więc dziwnego, że jeśli Bóg cię chorobą nawiedzi, więcej uciekasz się do bab zażegnaczek, do gusłów i zabobonów, aniżeli do Pana Jezusa — a jeśli te nie pomogą, to może u ciebie gorzałka pewniejszém lekarstwem, aniżeli ten Najświętszy Sakrament?... o jak się Jezus smuci nad tobą! — Wszystko ci woła, że tu Twój Bóg Jezus Chrystus utajony, a ty tak twardy i zimny! wszyscy ci czterej Ewanielistowie św. świadczą, co ten Pan Jezus dla ciebie czyni — wszyscy w imieniu Boga odzywają się do nas, że Jezus Chrystus był prawdziwym człowiekiem, najwyższym kapłanem, Prorokiem i zarazem Bogiem. Ś. Matensz opowiada, co Chrystus

jako prawy człowiek pracował i cierpiał dla ciebie. — Ś. Łukasz, jakie ofiary i poświęcenia podejmował dla ciebie. — Ś. Marek uczy, co Chrystus, jako król Proroków nauczał, przepowiadał i jak wszystkie przepowiednie dla zbawienia twego wiernie spełnił, wreszcie Ś. Jan ukazuje ci Chrystusa nie tylko jako prawdziwego człowieka, najwyższego kapłana i Proroka, lecz jako prawdziwego Boga, który stał się synem ludzkim, aby cię uczynić synem boskim, poniżył się, aby cię wywyższyć, zakrył się w Najświętszym Sakramencie, aby ci miłość swoją odkryć, a ty co czynisz? może nie nie czynisz, lub wszystko czynisz na twoje potępienie. — Wszystko ci okazuje wielkość i dobroć tego Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie u-
tajonego i wschód i zachód i północ i południe — na wszystkie strony płyną od niego łaski i dary jako 4 rzeki w raju — ze wszystkich stron garnęli się zawsze do niego ludzie ze wschodu, zachodu, południa i północy — ze wszech stron znosili do niego rozmaitych chorych i odbierali zdrowie — o idź i ty, boś chory na duszy, ślepy na rozumie, chromy na drodze cnoty i trądem grzechu obsypany, idź, a Jezus cię uzdrowi, oświeci, wzmocni, pocieszy i oczyści — idź na te uroczyste processye dopó-
kąd to słoneczko miłosierdzia ci przyświeca, bo może wkrótce zajdzie i nastąpi straszna noc zbrodni i potępienia, idź z ochotą i pobożnością dopókiś zdrów, aby Jezus przyszedł do ciebie w smutku i strapieniu, a szczególnie w godzinę śmierci — idź łącząc się myślą i sercem z Aniołami i Świętymi, którzy mu w tym Najświętszym

Sakramencie niewidomie cześć i pokłon oddają, abys z nimi kiedyś w niebie mógł się połączyć i tam tę processyą uroczyściej i radośniej na wieki odprawiał; — idź z gorącym sercem i światłością wiary, jako pierwsi Chrześcianie, abys w obec nieba i ziemi, w obec wiernych i niedowiarków twój pokłon z serca mu oddając i wiarę twoją św. uroczyście wyznając, jako nasi prawowierni przodkowie to czynili, zasłużył kiedyś w niebie usłyszeć te słowa Zbawiciela Pana: *Kto mnie wyzna przed ludźmi, wyznam go ja też przed Ojcem moim, który jest w niebiesiach.* (Math. św. 10. 32). Owszem tutaj jeszcze przyzna się do ciebie Chrystus, wejrzy z wysokiego nieba, wejrzy z tego Najśw. Sakramentu łaskawie na Ciebie, wejrzy na twój domek i twoje dziatki, wejrzy do Twego serca i twój duszy, a ty już wiesz, co to znaczy to łaskawe wejrzenie P. Jezusa!

Piotr, Magdalena, Zacheusz, Iotr nawet na krzyżu nauczą Cię. — Przystępujcie więc do Chrystusa, Boga naszego. oświecajcie się, a twarze wasze pohańbione nie będą. (Ps. 33.)



Ś. WOJCIECH.

W żywocie pierwszych apostołów słowiańskich Św. Cyrylla i Metodego poznaliśmy naród Czeski, co z Polską od strony Szląska graniczył, co przez nauki arcybiskupa Morawskiego Św. Metodego do wiary chrześcijańskiej się nawrócił, i co naszemu Mieczysławowi I. dał za żonę księżniczkę swoją Dąbrówkę. Był też to naród bardzo żarliwy w pierwiastkach nawrócenia swego, a że złe dobremu bardzo się tam opierało, więc wielu dobrych męczeństwo poniosło za prawdę. Święta Ludmiła została umęczona przez lutycką Dragomirę 927 roku, Świętego Wacława brat Bolesław srogi 936 roku o śmierć przyprowadził. Tymczasem w dziewięć lat potem, jak z przyjściem Dąbrówki do Polski cały nasz naród się odrodził z wody i z Ducha Świętego, przyszło w Czechach na świat pachole, które nowe błogosławieństwo na naród Polski zlać miało. Był

to święty Wojciech, którego życie pełne zasług i cudów, teraz Wam opiszę. A że dzieci najczęściej wydają się za rodzicami, więc należy naprzód wspomnieć o rodzicach tego świętego Patrona naszego.

Może w jakie sześćdziesiąt lat potem, jak ksiązę Czeski Bożywój z żoną swoją Ludmillą chrzest święty z rąk św. Metodego przyjął, mieszkał w ziemi czeskiej, w stronach, gdzie się wiara święta była przyjęła, mąż bogaty, uczony, a przytém sprawiedliwy i miłosierny. Na imię było mu Sławnik. Z resztą był to istnie sławny człowiek i urodzeniem, i majątkiem, i znaczeniem. Za matkę miał siostrę cesarza rzymskiego Henryka I., a cesarz rzymski Henryk II., co został świętym, mógł się zwać jego wnukiem. Najznakomitsze rodziny czeskie liczył do krewnych swoich, i mieniono go Hrabią na Lubiczu. Książę czeski powierzał mu niejedną sprawę, a Sławnik zastępował księcia zawsze godnie, mianowicie w sądach. Wszyscy wychwalali jego zacność; wszyscy go czcili i kochali. Wiele panowie poważali go już to dla wielkiego majątku, już to dla wysokiego urodzenia, już to dla pokrewieństwa z książętami i cesarzami, już to dla wysokich urzędów i dostojenstw, jakie w kraju posiadał. Lud poczciwy ufał mu dla tego, że był sprawiedliwy dla każdego bez względu na stan lub osobę, że z każdym, jakby z bratem się rozmawiał i po ludzku obchodził. Ale najserdeczniejsze przywiązanie mieli do niego ubodzy i chorzy, którym nigdy wsparcia potrzebnego nieodmawiał. Tu wspomnieć trzeba, że wszystkie dobre uczynki Sławnika z jednego wypły-

wały źródła — z najczytszej miłości Boga. Kto bowiem szczerze kocha Pana Jezusa, kochać też musi tych wszystkich za których Pan Jezus krew swoją najświętszą z miłości przelał. Żona Sławnika nazywała się Strzeżysława. Pochodziła także z rodu książęcego; była bowiem córką księcia czeskiego Bolesława I., który świętego Wacława w Bolesławiu nad rzeką Łabą zabił, a siostrą Dąbrowki, co to poszła za Mieczysława I., i wiarę świętą do Polski przyniosła. Jaśniała przecież szlachetniejszymi jeszcze przymiotami duszy. Chociaż bogata i wysokiego urodzenia, nie lubowała w zbytkowych strojach, ale się w modlitwie i szczerzej pobożności kochała, nie przyozdabiała swego ciała złotemi łańcuszkami, pierścieniami, drogiemi kamieniami lub innemi błyskotkami, ale starała się duszę swoją przyozdobić różnemi cnotami i uczynkami dobrymi. Największą jej rozkoszą było ubogich wspierać, chorych pielęgnować, sieroty bogobojnie wychowywać, wdowy w ich smutku pocieszać i ratować. Nazywano ją też powszechnie matką ubogich, czułą opiekunką wdów i sierót. I w pożyciu z ludźmi praktykowała cnoty chrześcijańskie. W towarzystwie dostojnych i bogatych osób nie popisywała się uczoną i zarozumiałą rozmową, lub dowcipnemi żarcikami, ale naprowadzała rozmowę na rzeczy budujące.

Było to więc prawdziwie dobrane małżeństwo; bo zachęcali się wzajemnie do cnoty i pobożności, ćwiczyli się wspólnie w miłości Boga i bliźniego. Błogosławił im przeto Pan Jezus we wszystkiem, a szczególnie na dzieciach i dał im aż siedmiu synów. Najstarszy miał na

imię Poraj, drugi Sobiebor, trzeci Spicimir, czwarty Pobrasław, piąty Czesław, szósty Radzin. Kiedy roku Pańskiego 956 urodził im się siódmy syn, zdrowy jak ryba, piękny jak aniołek, dali mu przy chrzcie świętym imię Wojciech, co znaczy wojska pociechę. Nie przeczuwali rodzice skrytych dróg, jakimi Pan Bóg syna ich zamierzał prowadzić; nie odgadnęli, że wedle woli Boskiej, chłopczyk ten miał kiedyś zostać pociechą wojska Chrystusowego, wodzem zastępów Chrystusowych walczących z nieprzyjaciołmi wiary świętej. I tak niewiadomość z jednej strony, a próżność rodzicielska z drugiej strony sprawiły to, że ujęci urodą syna, przeznaczyli go do spraw świeckich, i chcieli go wychować na tak wielkiego Pana i wysokiego dostojnika w narodzie czeskim, jakim był Sławnik.

Gdzie Pan Jezus szczerze widzi serce i dobrą wolą, tam przychodzi w pomoc słabościom ludzkim, i naprawia w nieskończonej dobroci to, co ludzie przez niewiadomość lub słabość zepsowali. Doświadczyli tego rodzice Świętego Wojciecha. Nie bacząc, że Pan Bóg chciał przez żywot ostry i pełen umartwień przysposobić sobie Wojciecha na dzielnego bojownika wśród świata zepsutego, wychowywali go po światowemu w miękości. Nieukracali rozsądną ostrością jego woli, pozwalali mu wszystkiego, czego się tylko domagał. Oświeciła dopiero ojca i matkę kara Boża. Jakoż gdy w skutek miękkiego wychowania, zapadł chłopczyk na zdrowiu tak niebezpiecznie, że o życiu jego zwątpiono, trwoga zwróciła myśli i serce stro-

skanych rodziców do Boga. Zanoszą umierającego syna do kościoła, składają go na ołtarzu Bogarodzicy i proszą Matkę Boską, ażeby mu przyczyną swoją u Boga życie wyblagała, a potem wyprosiła powołanie do służby Bożej. Duch święty wołał przez ich usta do Pana Zastępów: „Nie nam Panie, nie nam niech żyje to dziecię, ale niech jako kapłan Twojej służbie poświęcony pracuje na Twoje i Matki Twój chwałę.“

Niesłyszano jeszcze nigdy, aby kto kolwiek, co się pod opiekę Najświętszej Maryi Panny udawał, został opuszczony. Wyblagała Matka Boska stroskanym rodzicom przebaczenie winy. Pan Jezus przyjął dziecię na ołtarzu Najświętszej Matki swój złożone na służbę swego i udarował go zupełnym zdrowiem. Cudowne uleczenie dziecka uleczyło także rodziców. Uznali swoje niebaczną, żalowali serdecznie za zbytne pobłażanie Wojciechowi i podziękowawszy Bogu za tę zbawienną karę, zaczęli syna swego już nie dla świata, ale wyłącznie dla Pana Jezusa wychowywać. Dawniejsze zabawki ustąpiły miejsca książkom. Towarzyszymi i przyjaciółmi byli szczególnie dziecku Święci Pańscy, na których życie i przykład miał się ustawicznie zapatrywać. A kiedy się psalmów Dawida na pamięć uczył, kazał mu ojciec najczęściej one słowa powtarzać: „Z Świętym święty będziesz, a z mężem niewinnym niewinny będziesz. I z wybranym wybrany będziesz, a z przewrotnym przewrotny się staniesz“. W takiej to pobożności chowany był Wojciech święty w domu rodzicielskim aż do szesnastego roku życia swego, owoż prócz

czytania i pisania, nauczył się pierwszych zasad wiary św. i całego Psaltera na pamięć.

Ród Sławników posiadał rozległą krainę ze stołecznym grodem Lubicz, a hrabstwo to rozciągało się aż do granic polskich, nie daleko od miasta Klacko a dziś Glac, co to na samej granicy Czech i Szlązka leży i stykało się z wielu dzierżawami polskimi. A że to Sławnik był człowiekiem pobożnym i dla wszystkich przystępnym, przeto zaprzyjaźnił się i z Polakami, a przestawał z nimi często, i był miłym a serdecznym ich sąsiadem. On bywał u nich a oni u niego w gościnie. Takim sposobem poznał Wojciech święty już w młodych latach Polaków bliżej, nie przeczuwając tego, że chociaż nie był rodem z Polski, miał się stać z woli Najwyższego najukochańszym jej synem, najdroższym bratem naszym, chlubą narodu polskiego i patronem ziemi polskiej.

Kiedy Wojciech piętnasty już rok życia swego kończył, a w gruntownej pobożności i w pierwszych zasadach wiary świętej dostatecznie był wyćwiczony, pomyśleli rodzice o dalszych jego naukach. Byli oni i słusznie takiego przekonania, że dla sług ołtarza sama pobożność nie wystarcza, ale że z gruntowną pobożnością powinni oni łączyć gruntowne nauki, żeby tém bezpieczniej nieprzyjaciół wiary świętej odpierać i pokonywać. Najbardziej chwalono w tych czasach szkołę Magdeburską przy klasztorze Świętego Maurycego i tam miał Wojciech św. nauki swoje kończyć. Strzeżysławie niepodobało się to wprawdzie początkowo, bo miasto Magdeburg leżało

w głębi kraju niemieckiego, na jakie sześćdziesiąt mil od Lubicza; lecz przełożenia Sławnika uśmierzyły troskliwość macierzyńską. Roku Pańskiego 972 odwiózł ojciec młodego Wojciecha do sławnej szkoły, i polecił go szczególniejszej opiece tamtejszego arcybiskupa. Opatrzność Boska widocznym sposobem prowadziła służbę swego Wojciecha i kierowała jego wychowaniem; albowiem arcybiskupem magdeburским był natenczas Adalbert, mąż pełen cnót i zasług ewangelicznych, którego kościół w poczet Świętych policzył, i którego pamiątkę w dniu 20. Czerwca święci. Czego więc w domu przy rodzicach na pamięć się uczył, tego po za domem w Magdeburgu miał doświadczyć: „Z świętym święty będziesz: a z mężem niewinnym niewinny będziesz.“

Szkołą tamtejszą zarządzał natenczas mąż bardzo uczony imieniem Oteryk. Młodzież szkolna lgnęła do niego; bo mądrością swoją i piękną wymową wszystkie sobie serca podbijał. Zresztą zasługiwał on ze wszech miar na miłość i szacunek powszechny. Nie dosyć na tém, że gorliwie i doskonale nauczał w szkole, jeszcze i po za szkołą pisał uczone książki dla pożytku drugich, i napisał ich nie mało.

To też niewinny nasz Wojciech całym się sercem do niego przywiązał i uczył się bardzo pilnie, przez co z każdym dniem w naukach i mądrości wzrastał. Niedługo spółuczniów pojęciem i wiadomościami prześcignął. Przy pracy szkolnej pokrzepiał się modlitwą, pomnąc na słowa Psalmisty: „Jeśli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy

go budują. Jeśli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuwa, który go strzeże.“ Z Bogiem zaczynał i z Bogiem kończył wszystko, dla tego też błogosławił mu Bóg we wszystkim.

Wielkie postępy czynił Wojciech w naukach różnych, ale nie mniej wielkie postępy w cnocie i doskonałości chrześcijańskiej. Fundament do życia cnotliwego był już w domu rodzicielskim założony; bo Sławnik przyświecał synowi swemu szlachetnością duszy, prawością serca, bezinteresowną sprawiedliwością, a Strzeżysława zaszczepiała w młodziuchném jego sercu najczystsza miłość Boga i bliźniego, ona co się umiała tak dobrze opiekować ubogimi, chorymi, wdowami i sierotami. Pod okiem świętobliwego arcybiskupa magdeburgskiego wznosił się coraz wyżej ten gmach doskonałości chrześcijańskiej u pilnego a gorliwego ucznia. Wojciech patrzył każdodziennie na bohaterskie cnoty Adalberta, na jego poświęcenie się bez granic dla chwały Boskiej i zbawienia ludzkiego, na jego gorliwość w modlitwie, hojność w jałmużnie, łagodność w napominaniu, miłość w karaniu i budował się a do naśladowania zagrzewał. Pokochał też z całego serca życie pobożne i cnotliwe i jął unikać swawolnej młodzieży i najmniejszej sposobności do złego. Kiedy współuczniowie jego po skończonych naukach ubiegali się za różnymi zabawami, nawiedzał Wojciech groby świętych Męczenników i błagał ich serdecznie, ażeby mu u Boga wyjednali stałość i mężstwo w walce z nieprzyjaciołmi duszy, ażeby mu przyczyną swoją dopomogli pokonać wszel-

kie pokusy do złego. A nie zbywało mu na wielkich i licznych pokusach, zwłaszcza, że był młodzianem rzadkiej piękności i nadzwyczajnie żywego umysłu, a przytém synem bogatych i znamienitych rodziców. Wieczorami nie uczęszczał z rowiennikami na zabawy, ale nawiedzał ubogich i chorych, wspierał wedle możności to pieniędzmi, to żywnością, to przyodziewkiem, pocieszał w smutku i boleściach mówiąc, że Bóg karze i dotyka tych, których kocha, że boleści wielkim są skarbem dla tych, którzy świątobliwie ich użyć i za nie Panu Bogu dziękować umieją. A ćwiczył się tém bardziej i gorliwiej w modlitwie i uczynkach miłosiernych, im lepiej w naukach mu się powodziło, im bardziej go Oteryk w szkole przed drugimi chwalił. Ćwiczeniami pobożnemi starał się ducha swego upokarzać, ażeby go nauki i pochwały ludzkie w pychę nie wbiły. Pamiętał dobrze na słowa Pawła św.: „Umiejętność nadyma, a miłość buduje.“ Chociaż Wojciech święty nie ubiegał się za względami ludzkimi i unikał pochwał ludzkich, podbijał sobie mimowolnie serca wszystkich. Jako wierny uczeń i naśladowca Pana Jezusa pomnażał on się téż z latami w mądrości, w łasce u Boga i u ludzi. Arcybiskup kochał go tak serdecznie, że przy bierzmowaniu nadał mu swoje imię. Tak więc miał syn Sławnika dwa imiona, że chrztu świętego Wojciech, a z bierzmowania Adalbert.

Ale gdzież to na świecie jest szczęście zupełne? Któż jest wolny od przeszkód w zawodzie swoim? Otóż wtenczas właśnie, kiedy Wojciech najwięcej

korzystał z przykładów świątobliwego arcybiskupa i z nauk swego mistrza, Adalbert umarł 981. roku, a Oteryk przeniósł się z Magdeburga do innej szkoły. Nie miał przeto już co robić w Magdeburgu Wojciech i po dziewięcioletniej nieobecności zabrał się napowrot do domu. Nie wrócił z próżną głową, ani z próżnym sercem, ani też z próżnymi rękoma. Głowę z bogacił pięknymi i pożytecznymi wiadomościami, serce uszlachetnił znakomitemi cnotami, a prócz tego naskupował był sobie dużo rzadkich ksiązek o świętej wierze katolickiej, mianowicie Ojców kościoła. Książki takie były w owych czasach bardzo drogie, bo nie było jeszcze druku, ale je przepisywano na wygładzonej skórze, co się pargaminem zowie. Inni uczniowie potracili byli pieniądze na zbytki w ubiorach i zabawach, święty Wojciech wydał swoje na ubogich i na książki. Z takim to zbiorem niemałym ksiązek pisanych przybył z Niemiec do Czech i miał tam co wziąć w ręce, kiedy sobie dawniejsze nauki chciał przypomnieć, lub nowych rzeczy się dowiedzieć.

Tego samego jeszcze roku, w którym do ojczystego kraju zawitał, został przez biskupa pragskiego Thietmara na kapłana wyświęcony. Radość i wesele serdeczne Sławnika i Strzeżysławy mogą sobie tylko wyobrazić rodzice bogobojni, co z żywą wiarą Syna Bogu na służbę poświęcili, i tego dnia szczęśliwego doczekali, w którym własne ich dziecko po odprawionej pierwszej ofercie niekrwawej bogosławienstwa kapłańskiego im udzieliło. We dwa lata potem 983. roku zachorował Thietmar niebez-

piecznie. Przy łożu konającego biskupa stał między innymi także święty Wojciech i słyszał z ust umierającego ciężkie żale, jakie nad ubiegłym życiem swoim rozwodził: „Biada mi wołał, żem nie był takim, jak widzę, że być należało! Biada mi! Straciłem wszystkie dni żywota, teraz nie mam dość czasu na pokutę. Ciało moje skazitelne będzie pastwą robactwa, a komuż się dostaną znikome skarby moje? Biada mi, żem namiętnie pragnął i ubiegał się za chwałą u ludzi, za skarbami i zaszczytami ziemskimi, za rozkoszami, przyjemnościami i rozrywkami światowemi! Zawiodłeś mnie świecie! Biada mi, żem milczał i słowa Bożego w całej jego potędze nie głosił powierzonym méj pieczy owieczkom, by je błędzące na drogę prawą naprowadzić. Na wieki tego żałować będę. Owo, sroga śmierć otwiera mi drogę straszliwą.“ Takie były ostatnie wyrzekania konającego biskupa pragskiego.

Słowa podobne wzruszyły do głębi wszystkich, co łoże umierającego otaczali; najbardziej jednak zatrwożył się młody Wojciech. Skoro bowiem był się z pod oka świątobliwego Adalberta oddalił i dostał się do książęcego miasta czeskiego Pragi, gdzie mało liczono ludzi prawdziwie bogobojnych, zaczął i on nieznacznie od dawniej ostrości żywota odwykać, i pozwolił sobie niejednej rozrywki pozornie niewinnej ale szkodliwej dla duszy. I doświadczył był prawdziwości słów Psalmisty: „Z przewrotnym staniesz się przewrotnym.“ Rozpaczliwe żale umierającego biskupa przebudziły go z chwilowego uspienia.

Zaraz postanowił zupełnie zerwać ze światem i tój samej jeszcze nocy wdział włosiennicę, posypał jak Dawid pokutujący swą głowę popiołem, a postanowiwszy wszystko swoje rozdać ubogim, siebie i zbawienie swoje polecił Bogu. Boga szczerze on zawsze miłował i tylko ze słabości chwilowej dał się być innym od pierwotnej ostrości życia odwieść, więc Pan użył słów umierającego biskupa za środek gruntownego nawrócenia jego, wedle tego co pisze Paweł święty w liście do Rzymian: „A wiemy, że tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu, tym, którzy są wezwani podług postanowienia Bożego święci.“

Na całym świecie katolickim był w one czasy taki zwyczaj, że po śmierci biskupa lud następcę na osieroconą stolicę biskupią wybierał. I nie miało to takich niedogodności, jakieby się teraz w podobnych razach pokazały nieohybnie. Księciem Czeskim był Bolesław II., brat Dąbrowki, żony naszego króla Mieczysława I., ten sam, co to go zwali Pobożnym dla rozlicznych cnót jego. Po śmierci więc Thietmara zebrali się Prażanie, a po naradzeniu się i porozumieniu z Książęciem uznali za najgodniejszego na osierocone biskupstwo praskie ziomka swego Wojciecha. Prócz tego był za onych czasów jeszcze i ten zwyczaj, że cesarz rzymski wszystkich nowo obranych biskupów nie tylko niemieckich ale i czeskich potwierdzał, a w dowód potwierdzenia pastorał i pierścień biskupi im wręczał. Na tronie cesarskim siedział natenczas Otton II., który wracając z wojny przeciwko Grekom, zatrzymał się był w mieście włoskiem Weronie. Do

Werony więc posłał Bolesław II. w roku 983 posłów swoich razem z Wojciechem, aby cesarza prosili o zatwierdzenie wybranego biskupa praskiego. Cesarz niesprzeciwiał się wyborowi, zwłaszcza, że Wojciech z domem cesarskim był pokrewniony; matka bowiem Sławnika była siostrą Henryka I., a ten znowu był dziadem Ottona II., wręczył przeto Wojciechowi laskę pasterską i pierścień; że zaś właśnie natenczas znajdował się w Weronie arcybiskup Moguncki, imieniem Willigis, tenże poświęcił Wojciecha w przytomności cesarza na biskupa praskiego zarazem suffragana swojego w samą uroczystość świętych Apostołów Piotra i Pawła.

Po wyświęceniu na biskupa wracał Wojciech z Werony do ojczyzny swój w towarzystwie tych panów czeskich, co ich to książę z nim razem do cesarza posłał. Skoro stolicę swoją biskupią z daleka ujrzał, stanęła mu w żywej pamięci śmierć poprzednika i straszliwe obowiązki wysokiego urzędu, a gdy pod Pragę przybył, zsiadł z konia, na którym podróż odprawił, i bosy wszedł do miasta, modląc się nieustannie z najgłębszą skrucą serca. Wszyscy mieszkańcy z księciem Bolesławem II. na czele wyszli naprzeciwko biskupowi swemu, i przyjmowali go z wielkim uniesieniem, poczem wprowadzili go do kościoła katedralnego.

Skoro Wojciech zasiadł na stolicy biskupiej, niewiedział go już nikt śmiejącego się; a gdy go się o przyczynę zpoważnienia pytano, odpowiedział: „Bardzo łatwo jest nosić infułę i pastorał, ale straszliwa to rzecz pomy-

śleć, że Najwyższemu Sędziemu trzeba zdać rachunek z dyecezyi.“ Dochody biskupie podzielił na cztery części. Jedną część przeznaczył na ozdoby kościelne, drugą na utrzymanie kanoników, trzecią na wspieranie ubogich, a czwartą na skromne potrzeby własne. Skosztowawszy już w domu rodzicielskim i u Adalberta słodyczy, jaką jałmużna chętném sercem dana sprawia, i pamiętając na słowa Zbawiciela: „Szczęśliwsza jest rzecz dawać, niżeli brać,“ nie przestawał Wojciech na tém, że czwartą część dochodów swoich biskupich między ubogich rozdzielał, ale jeszcze i tą częścią, którą na swoje własne potrzeby był zostawił, dzielił się z potrzebującymi. Każdego dnia miewał u stołu biskupiego dwunastu ubogich na uczenie dwunastu Apostołów, których Pan Jezus z ubogich prostaczków na filary kościoła powołał. W uroczyste znowu święta dostawali wszyscy ubodzy hojniejszą jałmużnę. Prócz tego nawiedzał osobiście chorych i nędzarzy w ich mieszkaniu i wiedział najlepiej, w której części miasta i w którym domu leżało chore biedactwo, jaką słabością złożone i czego potrzebujące. Zwiedzał także więzienia, litował się nad nieszczęśliwymi ofiarami grzechu i przewrotności, pocieszał żałujących lub rozpaczających więźniów, a zatwardziałych kruszył. Najczęściej odbywał nocną porą te pielgrzymki pobożne, i przebrany nawiedzał chatki nędzarzy. Im ciszej i tajemniej mógł czynić dobrze, tém się bardziej cieszył w pokorném sercu swoim.

Przerażająca śmierć Thietmara pobudzała go do njeu-

blaganęj ostrości przeciwko sobie samemu. Wszelkim wygodom zaciętą wypowiedział wojnę. W sypialni jego stało łóże paradne, biskupięj godności odpowiednie, nigdy przecież w nięm niesypiał, lecz oddawał je albo swemu bratu Radzinowi, albo tęż niewidomemu od urodzenia kalece. Przeciągając aż do późnej nocy już tó odwiedziny u ubogich, już modlitwy swoje, kładł się potęm na gołej ziemi, biorąc kamień pod głowę. Gdy razu jednego już pod wieczór modlił się w zamkniętym kościele, usłyszał naraz silne kołatanie do drzwi kościelnych. Zaraz otworzył i ujrzał biedaka z odzienia obdartego, który z żalosem narzekaniem o zmiłowanie błagał. Litościwy biskup rozdał był już przedtęm wszystko ubogim; ale nie mogąc patrzeć na drzące od zimna członki nieszczęśliwego, pobiegł do sypialni, wysypał pierze z szarłatnej poduszki i podał nędzarczowi jedwabną poszewkę. Gdy sługa biskupi ujrzał rozsypane pierze, pomyślał, że się stała kradzież, i chciał sprawcy dochodzić. Biskup kazał mu zaniechać poszukiwania, mówiąc: „nie uczynił tego nieprzyjaciel, ale potrzebujący do okrycia swęj nagości.“

Cały dzień schodził zawsze Wojciechowi na modlitwie, wypełnianiu obowiązków biskupich i na dziełach miłosierdzia. Przed zaczęciem nabożeństwa w kościele katedralnym nauczał nieomal każdego dnia zgromadzonny ludek pobożny. Po nabożeństwie zajmował się sprawami pokrzywdzonych wdów i sierót, dla których prawdziwym był opiekunem i ojcem. Dawał zresztą posłuchanie wszystkim, którzy do niego po radę lub pomoc przychodzili,

a słabszych bronił z nieustraszonem mężstwem przeciwko niesprawiedliwym napaściom możniejszych. Skończywszy z ludźmi zajmował się czytaniem Pisma Świętego i ksiązek duchownych. Kiedy mu zostało trochę czasu, a była pora siewów, szedł na swe pole i siał własnymi rękoma, ciesząc się, że sam na chleb pracuje.

Takie były zasady, takie cnoty i takie zamiary Wojciecha, kiedy dyecezyą praską rządzić zaczął. Lecz pomimo tego, że dobrze żył i dobrze uczył, pomimo tego, że się poświęcał dla owieczek swoich, jako dobry pasterz, pomimo przykładu najwznioślejszych cnót i najgorętszych modlitw, nie mógł wykorzeniec zastarzałych nałogów w swoich dyecezanach. Już to w smutnym bardzo stanie odebrał był dyecezyę pragską. Część znaczna Czechów trzymała się jeszcze pogaństwa, reszta przyznawała się wprawdzie do Chrześcijaństwa, ale kłala swój charakter najsromotniejszemi występkami. W dni uroczyste nie okazywali żadnego dla obrzędów religijnych poszanowania, postów przez kościół nakazanych nie zachowywali; pijaństwem, zabójstwem, cudzołóstwem i wielożęństwem wyrównywali poganom. Czeladkę chrześcijańską sprzedawali żydom, a na większą wzgardę wiary świętej obchodzili dni świąteczne różnorakiem, bałamutném nabożęństwem.

W gorliwości niez mordowany pasterz napominał, groził, karciał, łączył ostrość z łagodnością wedle potrzeby owieczek i najlepszego rozumienia swego, a we wszystkiem szukał jedynie chwały Bożej i zbawienia dusz ludzkich.

Tymczasem karcenie zbrodni zamiast skruszyć i przywieść do upamiętania, jątrzyło jeszcze bardziej zatwardziały ch grzeszników. Podwodzą oni złoczyńców, źli biorą górę nad dobrymi i wypowiadają otwartą wojnę pasterzowi. Głównymi przewodźcami nieprzyjaciół świętego Wojciecha byli Wrszowcy. Ród Wrszowców prześladował oddawna Sławników, którym zamożnością i znaczeniem w kraju nieomal wyrównywał. Nienawiść rodowa wybuchła teraz jeszcze gwałtowniej, gdy Wrszowcy członka przeciwnej rodziny do pierwszego duchownego dostojenstwa w narodzie ujrzeli wyniesionego. Domową przeto nienawiść ku Sławnikom zlały na świętego Wojciecha i podburzali nieustannie Prażan przeciwko niemu.

Pokorny sługa Boży czuł się za słabym na zwalczenie tak zawziętych i tak licznych nieprzyjaciół, obawiał się też o własne zbawienie, ażeby wśród tak grzesznego ludu duszy swój nie zatracił. Stanęły mu w żywej pamięci słowa Psalmisty Pańskiego: „Z przewrotnym przewrotnym się staniesz.“ Opuścił przeto po sześćoletniej bezowocnej pracy swojej owczarnię i udał się roku 986 do Rzymu, by najwyższemu dusz Pasterzowi, Janowi XV. strapione swe serce otworzył i od niego, jako rządcy całego kościoła rady zasięgnął. Papież przyjął Wojciecha z wielką uprzejmością; a na jego prośby, aby go oświecił, co z obłąkanymi dyecezanami ma począć, rzekł do niego: „Synu! skoro owieczki twoje nie chcą słuchać głosu twojego, chroń się rzeczy szkodliwych. Jeżeli nie możesz przynieść pożytku innym, so-

sobie go nie utracaj. Zaczem radzę Ci, żebys się udał na spokojne ustronie, i jał się życia bogomyślnego z tymi, którzy go ze zbawienną zażywają słodyczą.“

Rada Ojca św. była, jakoby balsamem gojącym na rany zbolełego serca biskupiego. Spodziewał się Wojciech znaleźć błogi spokój u grobu Chrystusowego, i dla tego postanowił odbyć pielgrzymkę do ziemi świętej i zrosić łzami serdecznej skruchy te miejsca, gdzie się Pan Jezus narodził, żył, nauczał, cuda czynił, cierpiał i umarł dla naszego zbawienia. W ręce tedy Najwyższego Biskupa złożył władzę swoją biskupią, prosił o błogosławieństwo na podróż do Palestyny, a rozdawszy potem pieniądze swoje między ubogich, wybierał się z bratem Radzinem na tę pielgrzymkę świętą. Dowiedziawszy się o tém cesarzowa Teofania, matka Ottona III, która natenczas w Rzymie mieszkała, kazała do siebie przywołać pobożnych pielgrzymów i dała Radzinowi na drogę tyle pieniędzy, ile ten unieść zdołał. Wojciech atoli chciał jako ubogi pątnik tę podróż odbyć, dla tego rozdał owe pieniądze aż do ostatniego szelągka ubogim. Oprócz tego sług, którzy z nim do Rzymu przybyli, odesłał do Pragi, zmienił szaty swe biskupie na skromną odzież pątniczą, i tak puścił się z Radzinem w podróż.

Gdy przybyli do klasztoru Ojców Benedyktynów na górze Kassino, zadzwonili u fórty klasztornej. Zakonnicy przyjęli pielgrzymów ze czcią w gościnę, i przez kilka dni ich podejmowali. Otóż skoro się opat klasztoru imieniem Manso dowiedział, kto jest jeden z pielgrzymów i dokąd

się wybiera, przyszedł do niego w towarzystwie kilku światłych zakonników i odezwał się w te słowa: „Droga, którą obrałeś do osiągnięcia szczęśliwości wiecznej, daleka jest od tej, która wiedzie do błogosławionego żywota. Nie przeczę ja temu, że potrzeba do tego wielkiej cnoty i wzniosłego umysłu, ażeby pogardzić światem i znikomem a zwodniczym jego szczęściem, ale niemogę też pochwalać ciągłej zmiany miejsca i chodzenia po świecie. Staraj się zbierać owoce cnot w miejscu, w którym cię Pan postawił, bo nie życie w Jerozolimie, ale czynienie dobrze gdziekolwiek Pan Bog przeznaczył, chwalebne jest i zbawiennem. Z resztą nie my, ale nauka przodków i wytrwałe ich przykłady najlepiej przekonywają, jak na jednym miejscu niebiańskiej pociechy swobodnie zażywać.“

Wojciech walczył sam ze sobą, czy w klasztorze zostać i w cichem ustroniu nad zbawieniem swęj duszy pracować, czy też dalej pielgrzymować; w tém Opatrzność z tej wątpliwości go wyswobodziła. Kiedy bowiem niektórzy ze starszych zakonników z nim rozmawiali, a ciesząc się już naprzod nadzieją, że u nich na zawsze zostanie, z większą serdecznością niż rozważą rzekli: „Dobrze Ojczy, że z nami tu zostaniesz; przyjąwszy nasz habit, mły Bogu żywot wieść zaczniesz, a jako biskup i kościoły nasze poświęcać i naszych kleryków będziesz mógł wyświęcać.“ Wojciech rażony taką mową, postanowił klasztor zaraz opuścić. Musiało takie przypuszczenie zakonników serce jego głęboko zranić. Opuścił swoje

dyecezyę, złożył godność biskupią w ręce Ojca Świętego dla wyleczenia głębokich ran duszy w pielgrzymce pokornej, a ci każą mu znowu jako biskupowi kościoły i kleryków święcić.

Co postanowił, niebawem téż wykonał. Podziękował opatowi za uprzejmą gościnę, pożegnał resztę zakonników, a potem udał się z Radzinem do sąsiedniego klasztoru w Valli-luca. Opatem był tam znany powszechnie z ostrości życia, głębokiej mądrości i rzadkiej bogomyślności święty Nil. Szanowali go wielce książęta, królowie i ludzie wszelkiego stanu, toć później odwiedził go młody cesarz Otton III w ubożuchnej jego chatce pustelniczey pod Tuskulum i ofiarował mu wielkie pieniądze na wystawienie wspaniałego klasztoru dla siebie i swojej braci, których mąż święty nie przyjął; wszyscy zasięgaliby rady jego w ważnych sprawach. Święty Nil z liczną bracią żył podług reguły świętego Bazylego. Gdy Wojciech do niego przybył i o przyjęcie do grona ubogich pustelników prosił, rzekł do niego święty Nil: „Ja grecki człowiek, u łacinników lepiej ci się podoba. Idź więc do Rzymu, i pytaj się tam o zacnego opata Leona, przyjaciela naszego.“ Po tych słowach napisał list do Leona, w którym mu pobożnych pielgrzymów Wojciecha i Radzina serdecznie polecał.

Niepodobną było Wojciechowi wzgardzić radą tak świętego męża; dla tego powrócił bez dłuższego namyślenia się z bratem swoim do Rzymu. Gdy list świętego Nila oddał, przyjął go Leon, opat Benedyktynów, z wyla-

ném sercem do klasztoru świętego Aleksego na górze awentyńskiej, lecz nie tak skwapliwym był z przypuszczeniem go do grona swoich braci. Poprzednio udał się po radę do Ojca Świętego, i dopiero skoro papież na przyjęcie biskupa pragskiego w poczet synów świętego Benedyktyna zezwolił, obłókł go w habit zakonny w sam Wielki Czwartek 990 roku. Dzień ten, został na zawsze pamiętnym bogomyślnemu Wojciechowi, bo był to dzień, w którym Pan Jezus po odbytej Ostatniej Wieczery uczniom swoim nogi umywał, i w którym rzekł do nich: „Dałem wam przykład, aby jakom ja wam uczynił, takżeście i wy czynili.“ Nie chciał też sługa większym być nad Pana, ani uczeń nad Mistrza swego; ale wysokiego rodu pan czeski a biskup pragski czynił teraz w klasztorze rzymskim najniższe posługi braciom zakonnym. Widziano go najczęściej w kuchni zatrudnionego to noszeniem wody, to czyszczeniem narzędzi kuchennych, to rozdzielaniem potraw, lub innemi posługami. Z Wojciechem przyjął tegoż dnia brat jego Radzin habit zakonny.

Pokornym dawa Pan Bóg łaskę swoją, a kto się przed nim i przed ludźmi w serdeczném pokajaniu uniża, tego On wywyższa. Wywyższenie to pokornych nie dzieje się tylko duchowo, sposobem tajemniczym, w taki sposób, że Bóg wybranych swoich coraz to nowemi i większemi łaskami duchownemi obdarza, że ich niewymowną słodyczą i radością wewnętrzną napelnia, że ich pokojem nadziemskim obdarza; ale częstokroć wywyższa Pan Bóg pokornych także przed ludźmi szczególniejszemi łaskami ze-

wnętrznemi. Głośną stała się po niedługim czasie wyższa doskonałość biskupa pragskiego pod habitem pokornego zakonnika ukryta. Wielu znakomitych mieszkańców Rzymu udawało się do Wojciecha po radę, polecało się pobożnym jego modłom. Kiedy córkę Jana, prefekta Rzymu, ciężka febra długi czas trapiła, i zabiegi lekarskie bezskutecznemi się okazały, przywieziono ją do klasztoru benedyktyńskiego z prośbą, ażeby Wojciech nad nią się pomodlił. Zaledwie pokorny zakonnik rękę swoją na nią położył, odzyskała zupełne zdrowie.

Szczęście Wojciecha było zupełne w Bogu wśród cichych murów klasztornych, tymczasem źle się działo w osieroconej przez niego dyecezyi pragskiej. Występki i zbrodnie dochodziły tam do najwyższej dzikości barbarzyńskiej i podłej zwierzęcości. Mała tylko garstka wiernych Prażan ubolewała serdecznie nad smutnym stanem tej owczarni Chrystusowej; ale i między odstępcami znajdowało się coraz więcej takich, którzy poznawali głęboki swój upadek moralny, i przestępstw swoich żałować poczynali. Gdy się o tém arcybiskup moguncki Willigis dowiedział, zamysłał o wyprawieniu posłów do Ojca Świętego, ażeby Wojciechowi do swęj dyecezyi powrócić rozkazał. Poczował on się tém bardziej do tego obowiązku, że jako metropolita arcybiskup miał dyecezyę pragską pod swoją opieką, tak że biskup pragski był jego sufraganiem czyli pomocnikiem i zastępcą. Zdarza się to i dziś jeszcze, że jeden arcybiskup czyli metropolita ma kil-

ku biskupów pod sobą, którzy są jego pomocnikami czyli sufraganami.

Cztery lata cieszył się Wojciech nadziemskim spokojem w habitie zakonnym, a zamarł zupełnie sobie i światu w serdecznej pokorze, kiedy 994 roku posłowie od arcybiskupa Mogunckiego do Rzymu przybyli. Uzyskawszy posłuchanie u papieża Jana XV, przedstawili mu w długiej mowie powód przybycia swego do stolicy chrześcijaństwa. Ojciec Święty zwołał radę starszego duchowieństwa. Posłowie domagali się powrotu biskupa do swjej dyecezyi, opat i zakonnicy żałowali tak przykładnego brata. Zdania były w tej radzie podzielone; bo jedni ze starszych duchownych byli za powrotem Wojciecha do Pra-gi, drudzy za pozostaniem jego w klasztorze. Żywy do-syć spór rozstrzygnął Ojciec Święty w ten sposób, że pasterzowi do owieczek opuszczonych a zbłąkanych wró-cić kazał, dodając, że ważniejszą i Bogu miłszą jest rze-czą pracować nad zbawieniem wielu dusz w dyecezyi, niżeli nad własnem zbawieniem w zamknięciu klasztor-ném.

Z głęboką pokorą poddał się Wojciech święty roz-strzygnięciu papieskiemu. Więc posłowie arcybiskupa mo-gunckiego radowali się niewymownie z pomyślnego wy-padku swego posłannictwa, opat zaś Leon i zakonnicy smucili się bardzo, że utracają tak świętobliwego brata. Przy pożegnaniu wyprosił sobie Wojciech święty u opata dwunastu zakonników, których zabrał ze sobą do Czech, już to dla złagodzenia przykrego rozstania z tak święto-bliwymi braćmi, już téż dla tego, żeby dwunastu gorli-

wych miał współpracowników w zdziczałej winnicy swojej. Udał się także do Ojca Świętego z prośbą, by pobłogosławił jego powrotowi do dyecezyi; wtedy rzekł papież do odjeżdżającego z Rzymu biskupa: „Jeżeli lud głosu pasterza swego słuchać nie będzie, i jeżeli dróg nieprawości nie porzuci, będziesz miał prawo opuścić swoje owczarnią wedle słów Zbawiciela wyrzeczonych do uczniów swoich: — *„I ktoby was nie przyjął, ani słuchał słów waszych: wychodząc precz z domu albo z miasta, otrząśnijcie proch z nóg waszych.“*“

Zdawało się, że rzeczy w Pradze zmieniły się na lepsze, że się poprawiły obyczaje, że bieda nauczyła osieroczone dzieci pracy i modlitwy, nauczyła owieczki zbłąkane i zgłodniałe słuchać i szanować swego Pasterza. Tak się przynajmniej wydało Wojciechowi, który jako dobry Pasterz darował i zapomniał wszelkich uraz i krzywd Prażanom, i był gotów życie poświęcić za owce swoje. Sercem szczerém a pełném miłości pragnął on wiernym być uczniem tego Mistrza, który się modlił za swych prześladowców i za nich umarł.

W takim przekonaniu i z takimi uczuciami zbliżał się Wojciech do Pragi; nadzieją krzepił go zapal ogólny, z jakim był przyjmowany. Prażanie skoro się o powrocie biskupa swego dowiedzieli, wyszli naprzeciwko niemu i nieszczędzili mu oznak hołdu i uszanowania. Oni wynurzali publicznie żal za swoje przewinienia, i przyrzekali uroczyście poprawę obyczajów. Czas przecież przekonał Wojciecha, że ten zapal chwilowy, z jakim go

przyjmowali, że ten żal za grzechy i obietnica poprawy nie były skutkiem łaski Bożej i prawdziwego odrodzenia się w Jezusie Chrystusie, ale że to wszystko pochodziło z ciała i krwi, z namiętnego poruszenia serc zmiennych, które łatwe są do żalu i płaczu za popełnione występki, ale łatwiejsze jeszcze do popełnienia równych, a może i większych zbrodni. Nie szczędził dobry pasterz trudu i znojów rozlicznych, nie szczędził żadnej pracy około pozyskania zgubionych owieczek swoich, prosił, napominał, karmił, czy w czas czy nie w czas, czy się podobało czy niepodobało, słowem podwajał gorliwość swoją w szukaniu i ratowaniu grzeszników. Owóż zastarzałe nałogi stały się były dla nich drugą naturą. Przypominając sobie dawne rozkosze, żalowali ich, i często się do nich wracali. Nie chcieli żyć duchowo, nie chcieli zaprzeczyć się przewrotności swoich i zepsutej natury swój. Błagał ich Wojciech, ażeby złą naturę swoją przeistoczyli, ażeby się w nowych przemienili ludzi wedle nauki Pana Jezusa, ażeby się zaparli siebie samych, ukrzyżowali starego człowieka z jego żądzami i namiętnościami; wystawiał im błogie skutki przemiany; mówił, że skoro Pan Jezus pociągnie ich za sobą, nie wedle ciała, ale wedle ducha żyć będą, że łaska Boska dopomoże im panować nad ciałem, że *dusza ich jest chrześcijańską*, że nie mają przeto iść za popędem ciała i zepsutej natury, ale postępować za pociąganiem duszy nieśmiertelnej. Porzucicie naturę wilczą, która was ciągnie do lasu zmysłowości, a

postępujcie z naturą chrześcijańską, która was ciągnie do raju szczęścia prawdziwego, do Boga i cnoty wszelkiej.

Lecz był to głos wołającego na puszczy. Złe wzięło górę powtórnie nad dobrém. W zaślepieniu swoim lekce sobie wazyli gorliwe słowa, usilną pracę, ojcowskie zabiegi swego pasterza. Występki najokropniejsze mnożyły się z dniem każdym, a wielkość i liczba ich dochodziła do zatrważającej groźności. Rodowa nienawiść Wrszowców przeciw Sławnikom nie była przycichła, i gdy syn Bolesława Srogiego, Bolesław Rudy objął rządy, wzięli Wrszowcy stanowczą przewagę nad Sławnikami, dla tego że książę ten był ich gorliwym przyjacielem. Żona jednego z Wrszowców dopuściła się cudzołóstwa i była o to publicznie obwiniona. Gdy zaś rodzina schabionego małżonka postanowiła barbarzyńskim obyczajem uciąć głowę niewieście, nieszczęśliwa ta skrycie uciekła do biskupa. Ten zamknął ją w klasztorze zakonnicy świętego Jerzego, silnemi otoczonym murami, i ukrył w kościele za ołtarzem, a klucz od świątyni powierzył zaufanemu dozórce. Wojciech święty naśladował tu przykład Pana Jezusa, który złapaną na uczynku i przywiedzioną do siebie cudzołożnicę ocalił przed kamienowaniem temi słowami: „Kto z was bez grzechu, niechaj pierwszy kamień na nią rzuci.“ Około północy przyszła gromada mścicieli z ludźmi zbrojnymi do biskupiego mieszkania, szukała z groźbą i krzykiem Wojciecha, który, jak mówiono, przeciwko przykazaniu Bożemu i prawu małżeństwa ukrył cudzołożnicę. Gdy biskup hałas usłyszał, przerwał

swe nocne modły, wychylił się z tajnego miejsca, polecił się modlitwie swój braci, pożegnał się z nimi i wyszedł z mieszkania gotowy na męczeństwo. Skoro się zbliżył do zbrojnego tłumu, rzekł do rozhukanych: „Jeśli mnie szukacie, to jestem.“ Na to odpowiedział biskupowi jeden z tłuszczy: „Nie ciesz się nadzieją męczeństwa, bo na nas spadłby grzech, a ty okryłbyś się chwałą; ale wiedz o tém, że jeżeli nie wydasz nam téj nierządnicy, namy braci twoich, na których rodzie, żonach i dobytku pomścimy krzywdę naszą.“ Kiedy biskup jak filar nieporuszony stawa w obronie żalującej grzesznicy, zjawia się zdrajca, złotem przekupiony, wywołuje Wrszowców z tłumu rozjątrzonych mścicieli, prowadzi do kościoła i wskazuje tego, któremu klucz był oddany. Zbrojni ludzie ohwytnają dozorcę i zagrożeniem utraty własnego życia zmuszają do wydania im ukrytej w kościele niewiasty. Napróżno nieszczęśliwa ima się oburącz świętego ołtarza; rozjuszony tłum porywa ją gwałtem, stawia przed mężem, i żąda, ażeby własną ręką cios śmiertelny zadał. W mężu odezwało się uczucie przyrodzone, i niechciał wykonać czynu tak niehumanicznego. Ale i to nie uratowało niewiasty, gdyż nikczemny jeden poddany jego mieczem uciął jój głowę.

Wojciech zalał się łzami na wieść tak barbarzyńskiego czynu. Lecz nie tu koniec. Rozzuchwaleni przyjaźnią młodego księcia Wrszowcy, rozpoczęli otwartą wojnę ze Sławnikami. Wojciech święty przewidywał na przód nieszczęsne następstwa téj nienawiści rodowej, a

że Prażanie coraz to nowemi zbrodniami obyczaje swoje kalali, przypomniał sobie radę papieżką i słowa Chrystusa Pana: „A którzybykolwiek was nie przyjęli, wyszedłszy z miasta onego, i proch otrząsajcie z nóg waszych na świadectwo przeciw im.“ Opuścił więc poraz drugi Pragę i udał się konno do Węgier. Narodem węgierskim rządził natenczas książę Gejza, co to był szwagrem naszego Mieczysława I., dla tego, że pojął za żonę rodzoną jego siostrę Adelajdę. Jako bliski krewny książąt polskich wierzył już książę Gejza z dworzanami w Pana Jezusa; wszelako większa część Węgrów kłaniała się jeszcze bożkom pogańskim. Skoro 995. roku biskup pragski na ziemi węgierskiej stanął, wyszedł książę Gejza z niektórymi wiernymi na jego spotkanie, bo sława Wojciecha doszła była aż do jego uszu. Przyjęto go i ugoszczono uczciwie. Czesi lekce wazyli sobie gorliwe nauki swego pasterza, przeciwnie lud węgierski na wezwanie książęcia cisnął się do słuchania słowa Bożego i do przyjęcia chrztu świętego. Wznosił się na Węgrzech jeden kościół po drugim, Wojciech zaś poświęcał je i kapłacami obsadzał. W Ostrychoniu ochrzcił syna Gejzy i dał mu na imię Szczepan, a kościół święty policzył tego królewicza węgierskiego w poczet świętych pańskich.

We Węgrzech zabawił Wojciech do końca 995. r., ztamtąd udał się do Rzymu. Nie będziemy tu opisywali radości, z jaką go opat i reszta zakonników w klasztorze awentyńskim świętego Aleksego przyjmowali, wspomnimy tylko, że opat uczynił go najstarszym po sobie w zako-

nie, czego przecież pokorny biskup nie przyjął. On chciał być uważany za najmłodszego z braci. Lecz Pan Bóg wywyższał już na ziemi pokornego sługę swego. U fortey klasztornej był nieraz wielki nacisk ubogich, strapiionych i chorych, a każdy domagał się modlitwy Wojciecha i każdy doznawał ulgi w cierpieniach i potrzebach swoich za wstawieniem się do Boga świątobliwego zakonnika. Inny dowód szczególniejszej łaski u Boga. Ś. Wojciech miał sen, w którym mu Pan Jezus dwa szeregi Świątych Pańskich w niebie ukazał. Jeden szereg był przybrany w szaty purpurowe, drugi w śnieżne, a każdy różnej postaci miał oddzielną zasługę i właściwą nagrodę, obu zaś pokarmem i napojem była wieczna chwala. Podczas tego widzenia usłyszał Wojciech głos: „W obydwu tych szeregach będziesz policzony, będziesz miał uczestnictwo stołu i należyty zaszczyt.“ Wojciech opowiedział opatowi to widzenie swoje, które nie do siebie, ale do kogo innego stosował. Opat wytłómaczył je w ten sposób, że jeden szereg Świątych Pańskich w purpurowe przybrany szaty, przedstawiał Męczenników, a drugi w szatach śnieżnych Wyznawców. Zasługą Męczenników jest krew za wiarę świętą przelana; zasługą Wyznawców ustawiczne umartwienie ciała z żądzami i namiętnościami jego z miłości ku Chrystusowi.

Następnego roku 996 przybył do Rzymu szesnastoletni Otton, syn cesarza Rzymskiego Ottona II., by z rąk papieża Grzegorza V koronę cesarską odebrał. Taki bowiem był natenczas zwyczaj, że papież uroczyście korony

poświęcał i monarchów koronował. Na tę koronacją zjechał także Willigis, arcybiskup moguncki. Młody cesarz uważał bardzo pobożnych sług ołtarza, i chętnie z nimi przestawał. Gdy się przeto o Wojciechu zakonniku rzadkiej cnoty i wysokiej doskonałości w klasztorze świętego Bonifacego dowiedział, rozmawiał z nim często i polubił go bardzo. Lecz i w arcybiskupie mogunckim obudziła się chęć przywrócenia tak doskonałego pasterza osieroconym owieczkom, dla tego prosił usilnie papieża, ażeby Wojciechowi do opuszczonej dyecezyi powrócić rozkazał. Grzegorz V. zebrał najwyższych dostojników duchowieństwa rzymskiego, a Willigis przemówił w obec zebranego synodu: „Ciężkim to jest grzechem, iż kiedy wszystkie kościoły mają swych pasterzy, sama tylko pragska katedra smutnem dotknięta jest sieroctwem. Zepsute obyczaje, zakorzenione nałogi, największe nawet występki dyecezan nie mogą upoważniać biskupa do opuszczenia dyecezyi, owszem powinny go powodować do tém usilniejszej pracy i wytrwałości. Obowiązki pasterskie wiążą się nierozłącznie z trudami, przykrościami i ofiarami rozlicznemi. Życie zakonne jest bez wątpienia daleko spokojniejsze; lecz nie za spokojnością, ale za pokonaniem trudów wzdychać powinien biskup.“

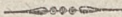
Wymowne słowa arcybiskupa mogunckiego wywarły głęboki wpływ na papieża i zgromadzone duchowieństwo. Więc po naradzeniu się z kardynałami przyrzekł Ojciec ś. arcybiskupowi, że Wojciechowi nakaże wrócić do swęj dyecezyi. W lipcu 996 roku wybierał się Otton III do

Niemiec. Willigis przeto chciał, ażeby Wojciecha zaraz zabrać. Papież nakazał Wojciechowi powrót do dyecezyi, pocieszył go jednak tém, że mu pozwolił udać się do pogan dla opowiadania Słowa Bożego, skoroby Czesi nauk jego słuchać nie chcieli. Z boleścią w sercu pożegnał Wojciech poraz drugi odwieczne miasto, groby apostołów i męczenników, pożegnał drogich braci w klasztorze świętych Bonifacego i Aleksego i udał się z cesarzem i arcybiskupem do Moguncyi. Tam gdy przybyli, Otton III zatrzymał u siebie przez czas niejaki biskupa, który pozyskał sobie pokorą i miłością wszystkich na dworze cesarskim. Wystawne życie, przepych i wykwinność, wygody i zabawy dworskie nie zmieniły w niczem obyczajów pokornego zakonnika. We dnie nauczał cesarza i dworzan, po nocach modlił się i ćwiczył w ewangelicznej pokorze. Kiedy wszyscy spali, czyścił obuwie dworzan, a oczyszczone na swoim miejscu ustawiał. Podobnież pełnił inne posługi w pałacu, dopóki nie wyszedł prawdy Wolfary, dworzanie cesarski. Ale przy takiej pokorze głębokiej był on daleki od pochlebstwa lub jakiegobądź płaskości. Z powagą i godnością biskupią, z nieustraszoną otwartością prawego chrześcianina wystawiał szesnastoletniemu przyjacielowi i uczniowi swemu straszliwą odpowiedzialność przed Panem Bogiem za lud rządowi i opiece jego powierzone, radził mu częsty rachunek sumienia, wzgardę rzeczy tego świata, które znikają jak kłęby dymu lub kwiaty polne. Z Moguncyi odprawił Wojciech z nieodstępny towarzyszem i bratem swym Radzinem pobożną piel-

grzymkę do grobu świętego Marcina w Turonie, świętego Dyonizego w Paryżu, świętego Benedykta w Floryaku i do grobu świętego Maura. Wszędzie błagał tych Świętych Pańskich, aby się za nim do Boga wstawili i wyjednali mu potrzebne meztwo do dalszego rządzenia dyecezyą pragską, i błogostawieństwo niebios przy sprawowaniu obowiązków pasterskich. Takimi modłami pokrzepiony puścił się w podróż ku Czechom.

Jeszcze nie stanął na ziemi ojczystej, a już dowiedział się o straszliwej rzezi, jaką Wrszowcy w zamku rodzinnym Lubiczu sprawili. W samą uroczystość świętego Wacława dobyli warownego zamku. Czterej bracia Sławnicy z żonami, dziećmi i całym ludem schronili się byli do kościoła przed ołtarz. Wrszowcy wywabili ich kłamliwymi obietnicami ze świętego przybytku, i wszystkich okropnie zamordowali. Sam tylko Poraj uszedł przez zrzadzenie Opatrzności okrutnemu zamordowaniu. Kiedy bowiem Wrszowcy Sławnikom dokuczać zaczęli, udał się najstarszy z Sławników — Poraj do cesarza Ottona III ze skargą na rozzuchwalonych przeciwników swoich. Cesarz wojował natenczas z poganami, a pomagał mu nasz Bolesław Chrobry. Wyrzekania Poraja na Wrszowców przypadły księciu polskiemu do serca, gdyż Sławnicy dawną sprzyjali Polakom, tylko jeszcze wojna z poganami nie była ukończona. Bolesław Chrobry pocieszał Poraja jakby swego najbliższego i zapraszał go ze sobą do Polski, z czego się też Poraj nie wymawiał; boć nie miał po co wracać do hrabstwa krwią bratnią zbroczonego. Książę nadał mu w kraju mnogie włości, a ród Poraitów wzrósł w sławę i zamożność na ziemi polskiej.

Więcej o Ś. Wojciechu opowiem wam w przyszłej książeczce.



Starodawne Przysłowia

Lenistwie i Pracy.

I.

Próżnowanie, powód do złego.

Próżnowanie, w rychłą nędzę przychodzi.

Próżnowanie, nieutuczy.

Próżnujący najwięcej ludziom przyganiają:
będąc bez własnej zabawki, tém czas trawią, aby
cudze sprawy szacowali.

Woli drugi nędzne próżnowanie, niż pracę
dostatnią.

Próżnowanie, żywego człowieka grobem.

Leniwy i w domu swym zmoknie.

Leniwemu robota idzie, jakby wodę w przetaku nosił.

Wszystko niechęcemu trudno.

Tego, co robić niechce, mąka w ręce kole.

Niebiegasz, niemasz, — nieszukasz, nieznajdziesz.

Kto w lecie próżnuje, w zimie nędzę czuje.

Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimie głodu.

Spyta się zima zarazem: był-liś w lecie gospodarzem?

Grzegórz! — czegoż? — pójdź robić, nie-mogę chodzić; — pójdź jeść, — toć muszę poleść.

Kto robi, pójdź do stołu, a kto próżnuje, za piec.

Kto nie robi, niech nie je.

Leniu, nać jaje; — a czy obłupione?

Kto leniwo je, leniwo robi.

Leniwy dwa razy robi.

Nie przylecą do lenia pieczone gołąbki, by
siedział i nadsiedział ostrząc na nie ząbki.

Robiąc uziębnie, jedząc się spoci.

Robi, a z miejsca go nieznać.

Nie pachnie mu robota.

Kto chleba niechce, niegodzien kołacza.

Z nieba nic samo nie spadnie.

Kto nie rad robi, temu zawsze niedziela.

Święto na ręce, post na zęby.

II.

Robota, nikomu nie sromota.

Robić wstydzic się nie trzeba, ktokolwiek
zażywa chleba.

Bez pracy, nie będzie kołaczy.

Człowiek musi sobie robić, bo gęba chce jeść.

Każdy się ptaszek swoim dzióbkiem żywi.

Praca, zawsze popłaca.

Jaka praca, taka płaca.

Jaki robotnik, taka robota.

Kto robi, ten się dorobi.

Praca ustawiczna, wszystko przemoże.

Pilność, wiele może.

Pilność wczesna być ma: co w czas, to z nas.

Sam rób, przyjaciela nie czekaj.

Pilnuj sam swego, niepuszczaj się na drugiego.

Co musisz, czyn z chęci.

Co z oczu, to z myśli.

Co radzi czynimy, to nam nie trudno.

Trudność ustąpi, gdy chęć przystąpi.

Komu się nieleni, temu się zieleni.

Trzeba się zmaczać, kto chce ryby łowić.

Robotny człowiek nie choruje, nie ma czasu chorować.

Prędką robota, z ręki pada.

Co nagle, to po djable.

Co się prędko wznieci, niedługo świeci.

Nie za jeden dzień Kraków zbudowano.

Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

Nie szyj sobotnim sztychem, na niedzielny targ.

Dwie roboty, robić razem trudno.

Sama się robota w palcach robi, kiedy się z ochotą pracuje.

Ochotnemu robota idzie, jakby grał.

Ochotnemu robota idzie śpiewający.

Ochotnemu robota idzie, jakby wianki wił.

Chleba, dorabiać się trzeba.

Chleb, pracą nabyty, bywa smaczny i syty!

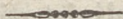
Boga wzywaj, a ręki przykładaj.

Trzeba nieba i chleba.

I Boża manna, za dorobkiem pada.

Za pracę i niebo kupić.

Dla nieba, dorabiać się chleba.



Domek Najświętszej Panny.

W ziemi Żydowskiej leży miasto Nazaret, drogie każdemu chrześcijańskiemu sercu, bo w niem żyła Najświętsza Panna, w niem pracował święty Józef, a Zbawiciel świata rósł w mądrości i łasce u Boga i u ludzi. Miasto Nazaret leży w pięknej dolinie, otoczone pagórkami, wśród krzewów i kwiatów; dzisiaj jeszcze wygląda wdzięczne, białe i czyste, — mówią, że samo jego imię znaczy kwiat, co było od wieków przepowiednią, że tu mieszkać będzie Ta, którą nazywamy Lilią wodną, kwiatem polnym, różą duchowną. — Domy są stawiane nieregularnie, a z czerwonego kamienia murowane; między niemi każdy podróżny szuka najprzód domku Najświętszej Panny. Wistocie przechowywał on się tutaj przez mnogie lata; składał się z dwóch izdebek w skale wykutych i

z domku przyklepionego do nich. Pierwsi chrześcijanie wystawili w nim ołtarz, a liczni pielgrzymi odwiedzali go z uwielbieniem. Tak przetrwał cztery wieki, pomimo częstych prześladowań chrześcian, aż póki święta Helena cesarzowa, przyjąwszy prawdziwą wiarę, otoczyła święty domek wspaniałym kościołem. Ośmset lat później Turcy opanowali ziemię Żydowską, sponiewierali wszystkie miejsca święte i zburzyli kościół świętej Heleny. Ale Pan Jezus nie chciał, aby mieszkanie swęj Matki, Dziewicy przeczystej miało być schąbione, pozwolił, aby święty domek opuścił Nazaret cudownym sposobem, i przeniósł się do Katolickich krajów.

Jest na południu od nas kraj górzysty nad morzem, nazwany Dalmacya, gdzie mówią językiem bardzo podobnym do polskiego. Tam stanął domek dnia 10. Maja roku 1291. Mieszkańcy brzegów Dalmacyi zadziwili się nie pomału, gdy rano dnia tego ujrzeli domek, na miejscu wczoraj jeszcze zupełnie pustém, Zbiegli się tłumnie i zaczęli mu się przypatrywać z ciekawością. Był wybudowany z czerwonego kamienia, nieznanego w całej okolicy — bez fundamentów — miał jedne tylko drzwi, i jedno okienko, na ścianach były mallowania, przedstawiające życie Najświętszej Rodziny w Nazarecie, w jednym rogu izby ołtarz z kamienia, a na nim krucyfiks malowany na płótnie a przyklepiony na drzewie, niżej Matka Boska z dzieciątkiem Jezus, wyrobiona z drzewa cedrowego. — Lud zaczął wołać, cud! cud! dano znać biskupowi miejscowemu, ale o nowe dziwy! Biskup wczoraj jeszcze

ciężko chory, cudownie ozdrowiał i miał objawienie od Boga téjże nocy, że ów domek był niegdyś mieszkaniem Najświętszej Panny w Nazarecie, — ołtarz wystawiony przez świętego Piotra, a posążek Matki Boskiej wyciosany przez świętego Łukasza, — tego samego co malował Najświętszą Pannę Częstochowską. Wielka była radość mieszkańców Dalmacyi, że taki skarb posiadali, ale nie cieszyli się nim długo. Pan Bóg znać chciał tylko pobłogosławić ich ziemię przytomnością tego skarbu, a w cztery lata później przeniósł go do Włoch pod opiekę Ojca świętego, w kraje papieżkie. Dnia 10. Grudnia 1294 roku zjawił się w miasteczku Loretto i tam dotąd pozostał.

Loretto leży nad morzem, na pagórku wystawione, składa się z jednej tylko ulicy, w pośrodku stoi kościół, który mieści w sobie ów domek kosztowniejszy nad wszystkie pałace. Papieże ozdobili go pięknie, a mury pokryli pięknymi marmurami. Wiele pielgrzymów, papieży, książąt i świętych odwiedzali to miejsce, i posyłali tam wota, między niemi i jeden z naszych królów, Władysław IV., kiedy jeszcze był królewiczem, sam tu złożył srebrny posążek Matki Boskiej.

Tego roku Ojciec święty, Pius VII. nawiedził Loretto i mszą odprawił na ołtarzu, który się wewnątrz domku znajduje.

Z R Ó D Ł O.

Gdzieś na pustkowiu, — gdzieś na ustroniu stała sobie stara chatka pochyłona, oparta o drzewo, które przy niej rosło; a pod drzewem na murawie sączyło źródło przy chatce i było widać ścieżkę wydeptaną od progu chatki do źródła.

W chatce mieszkała biedna, owdowiała, kłopotami ku ziemi przyciśniona matka, a przy niej rosła córeczka, jedyna jej podpora starości.

Ale jak to na ubogiego zewsząd wieje i zacina, tak i ta skolatana wdowa, razem ze swoją skolataną chatką, ledwo się ostatniej nędzy opierała, i oczy jej nigdy z łez nie wysychały, bo póki serce matczyne w niej biło, dopóty jedna łza drugą gonila. Ludzie przechodząc mówili: źródło tu sączy zawsze, jak zazwyczaj źródło, — matka płakuje, jak zazwyczaj matka.

A dziewczątko co dzień z dzbanuszkim po wodę deptało ową przy chatce najbliższą ścieszkę, i inszych jeszcze na świecie drózek nie wiedziało, jeno tę ścieszkę do swojego źródła, i w każdym swoim pragnieniu najbliższą drózkę do matki.

Aż jednego razu wiatr przyszedł, zaszumiał po drzewie i z drzewa nasypało się wiele liści do źródła. A dziewczątko młode, więc niedziw, trochę wietrzne i płochę, niechcący biedną matkę zasmuciło, bo wygarniając ze źródła naleciałe liście i z pływającym na wodzie igrając, tak pomąciło krynicę, że do drugiego poranku, póki się nieustała, przez cały długi dzień skwarny, nie było nigdzie w pobliżu ani kropli czystej i chłodnej wody.

Co matka w chatce dziewczątka za to mówiła, nie można było słyseć u okienka, bo jaskółki bardzo świegotwały wtedy ze swemi młodem w gniazdku nad okienkiem.

Dopiero potem o niektórej dobie, rozchodził się jakiś wdzięczny głos w tém cichém ustroniu. Kto tam szedł drogą, myślał: snać śpiewają tu ptaszki zlatujące z drzewa na ucieszoną ochłodę do źródła. — Ale to nie było śpiewanie zlatujących nad źródło ptaszków, jeno dziewczątko z dzbanuszkim chodzące po wodę, nuciło sobie piosenkę, której się nauczyło od matki w tych słowach:

Masz u źródła czystą wodę?

Pomnij go nie klócić,

Masz u matki swój ochłodę?

Pomnij jej nie smucić.

Bo gdy w źródle woda mętna

Jakże się napoisz?

Bo gdy matki dusza smętna,

Jakże się ukoisz?....

B o ż a - M ę k a.

Długa ulicą topolową szła zwolna, oparta na kijach stara kobiecina; — sakwy zawieszane na plecach, torba u pasa pokazywały żebraczkę, ale na twarzy wyraz spokojny, łagodny, prawie wesół. Kiedy weszła do wsi, wszystkie gospodynie wybiegły na próg chaty, i albo zapraszały ją do izby, albo wносиły czem komora była bogata; ta miseczkę grochu, tamta miarke mąki, owa kawałek chleba; najuboższe nawet komornice nie przepuściły ją z niczem, i po parę kartofli do sakwy dorzuciły. Ona wszystkim uprzejmie dziękowała, każdą po imieniu nazwała, każde dziecko pogłaskała i szła dalej z błogosławieństwem i modlitwą na ustach.

Jedna z starszych gospodyń zapytana, zkądby była ta staruszka, odpowiedziała: A toć to jest Babusia z N....

znana na całą okolicę, dawniej mieszkała w wsi sąsiedniej, teraz dalej o granicę się przeniosła, ale często tu przychodzi odwiedzać stare kąty, pomodlić się pod Bożą męką, którą wystawiła, a każda z nas chętnie by ostatni kawałek chleba z nią podzieliła. Zdaje się być już starą? Pono dziewięćdziesiąt lat blisko, byłam jeszcze dziewczuchą, kiedy ona już była wdową, a przynajmniej ludzie mówili, że jej mąż nieżyje, bo kiedy tam, i gdzie umarł, nikt tego nie wie. — Jak to było, proszę? — Jeśli posłuchać chcecie, opowiem: Maciej Bednarczak, mąż Babusi, był rodem z tych okolic, młodo wstąpił do wojska i jeszcze za jedności był żołnierzem w Warszawie — później powrócił w swoje strony i ożenił się z tą oto Barbarą Michalczak. — Ona była urodziwa i niczego dziewczyna, dobra do pracy, on pracowity, nie pijak, dostali po rodzicach zagrodę, i jak to w owe czasy bywało, dobrze się mieli. Ale niedługo to trwało, wojna wybuchła, Maciej w domu wysiedzieć nie mógł, i zaciągnął się do wojska. Zwiedził Niemcy, Francją, Hiszpanią, wszędzie dostał rany, Bóg przy życiu zachował. W kilka lat potem wracał do domu boso, w wytartym mundurze, ale mówią, że miał zaszytych w podszewce dużo złotych pieniędzy, z kąd je tam wziął, niewiedzieć, bo nigdy ani żonie nie powiedział. W drodze także się z pieniędzmi wcale nie wydawał, bo w ówczas po wojnie dużo było włóczęgów, a nuż by go który obdarł — więc szedł sobie boso, żył o czarnym chlebie, czasem szklaneczkę piwa wypił i tak zbliżał się do granicy. Ale im bliżej był kraju, tem jakoś niespokojniejszy,

pieniądze mu ciążyły, jakby się ich wstydził, i nieśmiało się z nimi pokazać pocziwój żonie, pod rodzinną strzechą. Już było widać słupy graniczne, Maciej zatrzymał się, usiadł na dużym kamieniu, co leżał na polu przy drodze, myślał długo, nareszcie wypruł pieniądze z podszewki, pięć sztuk złota do kieszeni schował, a resztę zakopał pod kamieniem, i potem już lżejszy i weselszy w dalszą puścił się drogę. Trzeciego dnia był już w rodzinnej wiosce, zastał Basię cichą, pocziwą, pracowitą jak dawniej, ale wynędzniałą i schudzoną. Pod niebytność gospodarza, bieda od dawna zagnieździła się w chacie, zagroda opustoszała, pola nieuprawne, bydelko rozmaicie wymarniało, w domu pańszczyzna nie odrabiana, i dwór przez wzgląd tylko na Maciejów, nie obsadzał kim innym zagrody. Co tu robić? Maciej biedził się długo z myślami, wybierał się żonie coś powiedzieć, pieniądze z kieszeni wyjmował, i znowu milczał i złoto do kieszeni chował.

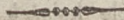
Nareszcie dnia jednego przyszła egzekucya za dawno zaległy podatek, — nie było w domu czém zapłacić, zabierano pościel, Basia nie skarżyła się, tylko cicho płakała. Niemógł dłużej wytrzymać Maciej, wydobyl pieniądze złoty i zapłacił podatek. Egzekutor przyjął, nie zdał reszty, bo mówił, że strata na zagranicznych pieniądzech i jakoś z ukosa na Maćka spoglądał, lecz ten mu rzekł na boku: milcz, a zarobisz grubo! Gdy odszedł Maciej wyznał żonie, że ma jeszcze cztery takie sztuki złota przy sobie, a wiele więcej zakopanych pod kamieniem, kazał jej być dobrej myśli, opowiadał jak to chatę

wyporządzą, bydła nakupią, wóz kowany sprawią i zaczną gospodarować na nowo. — Basia nieuśmiechała się na te obietnice, tylko zapytała ze łzami: a nuż na tych pieniądzech krzywda boska, lub ludzka? — Żeby tam już wcale krwi na nich nie było, odrzekł Maciej, tego nie powiem, ale co wojna, to wojna! — zamilkł, zmarszczył brwi, splunął, i tak dalej mówił: ale bądź spokojna, nie rabowałem kościołów, tego nasi nigdy nie czynili! — Teraz niema czego czekać, dziś jeszcze wyjdę w drogę, za tydzień najdalej powrócę, a wtedy spodziewam się, że moja Basia już więcej biedy mieć nie będzie, — tymczasem zaś zostawiam ci te kilka sztuk złota od przypadku. We dwie godziny już Macieja nie było w chacie, ale tydzień jeden i drugi, miesiąc jeden i drugi upłynął, a Maciej nie wracał, ani żadna wieść o nim nie doszła. — Basia oczy wypłakać chciała z tęsknoty i zmartwienia. Na przednowku chleba nie było w domu, a jednak pieniędzy złotych ruszyć nie chciała; zdawało jej się zawsze widzieć na nich krwawe plamy, lękała się o zbawienie męża, o własne.

Za rok wrócił tenże sam egzekutor po na nowo za- legły podatek. Basia dała sobie pobrać resztę ubogich sprzętów, pieniędzy zostawionych od męża nie ruszyła. Wtedy to gruchnęła wieść między ludźmi, że Maciej umarł gdzieś tam w dalekiej stronie, a żonie wielki majątek zostawił, tylko ona się z tém wydawać niechce. W tej nadziei kilku parobków posłało swaty do Basi, ale nawet wyjść do nich nie chciała, a kiedy rok i sześć nie-

dziel minęło, oddała dworowi zagrodę i rolę, mówiąc: że wdowa poradzić sobie nie może z gospodarką, a potem poszła do proboszcza, i złożyła u niego co tylko miała pieniędzy na msze za duszę męża i wystawienie Bożej-męki, co ją ot tam widać na początku wsi między brzo-skami. Tak się ogołociwszy, poszła w służbę do poczci-wych gospodarzy, i pracowała uczciwie, póki jej sił star-czyło; gdy siedmdziesiątka minęła i ręka osłabła do pra-cy, wzięła kij żebraczy, i odtąd obchodzi nasze wioski, często się modli pod krzyżem, który wystawiła ostatkiem wdowiego mienia, a każda z nas chętnie się z nią dzieli czém może, choć i czasem Pan Bóg urodzajem nie po-błogosławi.

Kobieta skończyła. — Babusia tymczasem już minęła wioskę. W kilka tygodni później, było to we Wrześniu, Babusia wróciła z odpustu Matki Boskiej, i wedle zwy-czaju ile razy ŚŚ. Sakramenta przyjmowała, poszła się modlić pod krzyżem za duszę nieboszcza męża; — tą razą dłużej się modliła, wieczór już zapadł, a ona jeszcze z kolan się nie podniosła; nareszcie owa kobieta się zbli-żyła, chcąc ją na spoczynek do swego domu zaprosić — już była usnęła na wieki.



Przy łożu śmiertelném.

Wiecie wy téż, kto najmędrszy na świecie? Wielu ludzi zapewne bardzo wiele rozumieją o swojej mądrości, a przecież cała ich mądrość w głupstwo się obróci w jednej godzinie, w godzinie śmierci, na łożu śmiertelném. Ani ten nie jest mądry, co wiele pieniędzy zgromadził, bo je musi zostawić, a ci, co po nim wezmą pieniądze, będą się śmiać z niego. Ani ten nie jest mądry, co wiele wsi nakupił, bo ich ze sobą nie weźmie, tylko pójdzie takusienko na drugi świat jak ostatni żebrak. Ani ten nie jest mądry, co wiele książek naczytał i napisał, bo mu się przed Panem Bogiem i przed czartem te ludzkie nauki nie przydadzą na wiele; Bóg mędrszy od niego, a czart nie dba o nauki, więc go same nauki przed Bogiem nie uświęcą, przed czartem nie zasłonią. A więc

któż najmędrzy? Oto ten najmędrzy, co się nauczył za życia dobrze w godzinę śmierci umierać.

Czytelniku lub czytelniczko! Czyś ty widział już lub widziała, jak to człowiek umiera? Pójdź tylko ze mną! W Poznaniu na szkolnej ulicy stoi dom wielki, tam niegdyś był klasztor pobożnych zakonnic świętej Teresy, Karmelitanek bosych, dziś klasztor rozpedzony, a na tém miejscu jest lazaret dla chorych ubogich. Iluż to tam ludzi codziennie umiera! Iluż to umierającym ja tam zamykałem powieki? Patrz na konającego pomiędzy tylu chorymi, sześćdziesięciu w jednej izbie i więcej leży; albo wystaw sobie, że ty tam leżysz pomiędzy nimi i jęczysz, gorączka spiekła ci usta na węgiel twardy, suchy, gorący; język wyschły stoi kołkiem w gębie; lice jak głownie; czoło potem oblane; wszyscy na około ciebie stękaają, ty jęczysz, a oczy, oczy — twoje oczy w ślup stoją i patrzą daleko, wysoko, daleko oczy twe patrzą, bo precz za świat sięgają na całą wieczność, wysoko patrzą, bo aż do nieba samego. Ręce wyciągnięte, nogi wyciągnięte, ruszyć się nie mogą; nie obronią cię ręce przed śmiercią, która cię przyszła urwać z téj ziemi jak kosa kwiat podetnie na łące, nie uniosą cię nogi przed śmiercią, co cię goni jak jastrząb spłoszonego gołębia, jeszcze chwilka, a już po tobie! A przed tobą wieczność, przed tobą grzech, przed tobą Bóg, przed tobą sąd, przed tobą piekło lub niebo! Ach! któż mnie wyrwie z objęcia śmierci? Kto mnie ocali, kto mnie zapewni, że nie umrę? Nikt, nikt cię przed śmiercią nie ocali, ty musisz, musisz umie-

rać. Wszyscy się rozłożym na łożu śmiertelném, czyś ty młody jak róża, co rozkwita, czyś bogaty, czyś stary, czy prostaczek, czy uczony, to wszystko zarówno i ciebie kurcze śmiertelne wezmą, pot śmiertelny obleje, jeszcze raz westchniesz, jeszcze raz oczy otworzysz, jeszcze raz spojrzysz na twoich kochanych, stękniesz, i już świeca zgaszona. Zaciśniemy ci oczy, podwiążemy usta rozwarte, złożymy ręce; obmyjem, uczeszę, w czecheł obleczemy, w trumne schowamy, ciebie, ciebie, twoje ciało, gwoździ mi zabijemy, młotek będzie stukał, ludzie zapłaczą, ksiądz zaśpiewa, wyniesiemy na cmentarz, tam złożymy ciało twoje w grób, w zimny grób i usypiem mogiłę. Będziemy płakali rzewnie i głośno, może też nikt nie zapłacze, a niedługo cały świat zapomni. Może będzie jaka dusza, co się niekiedy za tobą pomodli!

Widzisz taki los czeka wszystkich ludzi, muszą umierać! Ach! więc prawdziwie ten najmędrszy, co się za życia nauczył najlepiej umierać. Kto tę chwilę szczęśliwy spokojny zwycięży, ten zwyciężył to, co dla człowieka jest najstraszliwsze; ten śmierć zwyciężył. W obliczu śmierci dopiero pokazuje się, co to jest życie, co to jest człowiek i ile człowiek był wart za życia. Pospolicie mówią ludzie: jakie życie, taka śmierć, i ludzie prawdziwie mówią. Rzadko ten dobrze umiera, co żył źle, a rzadko człowiek poczciwy ma śmierć ciężką. Są wyjątki łaski Bożej albo dopuszczenia Bożego, ale to są wyjątki. Powiesz mi może, a łotr na krzyżu, czy nie żył jako łotr, a czy nie umarł, jako święty? Prawda, święty Dyzmas

był łotrem za życia, a umarł jako święty i jest w niebie, ale święty Augustyn powiada: „Nigdy nie rozpaczaj o zbawieniu, bo łotr w godzinę śmierci się nawrócił, ale dodaje zarazem, ale nie spuszcza się na ostatnią godzinę, bo to tylko jeden łotr jest w niebie, a miliony łotrów w piekle goreją.“

I.

A gdybyś ty widział, jak źli ludzie umierają! Pójdź ze mną do łoża śmiertelnego, ja ci pokażę śmierć zatwardziałego, odkładającego pokutę grzesznika.

Była to noc jesienna, wiatr wył na dworze, deszcz jak biczem ciał od zachodu, ciemno straszliwie, ani psa z domu wygnąć. Krótko po północy zakolotano do okna, był to mój kościelny, zbudził mnie, bo wołano do chorego. Dziwno mi było, bo w naszej parafii nie czekają ostatniej godziny, i do chorego w czas od rana wołają, ale idę, chociaż bez Najświętszego Sakramentu, bo posłaniec powiedział, że chory jeszcze nie pragnął, odkładał do jutra, jak mu będzie lepiej, tymczasem domownicy widzieli, że gwałt i proszą księdza do słabego. „Bóg wie, czy go przy życiu zastaniemy“ dodał przewodnik. Za lartarką puściliśmy się w pole, bo to biedny wyrobnik, w nocy na wsi rozbudowanej darmo koni szukać, bo to gwałt. Brodziemy w błocie i wodzie, a tymczasem powiem, kto to był ten chory. Dawniej bogaty gospodarz, posiadał bez długu porządne zabudowanie i siedmdziesiąt pięć mórg najlepszej roli, bydło piękne, konie dore, wszystko po rodzicach. Ale młody gospodarz

chodził do gościńca, do szynkowni, popsuł się tam do szczeru, wracał do domu tylko po pieniądze, bił dzieci ponieważ żonę, uciekała przed nim nieboga do lasa, potem do krewnych, nareszcie do rodziców, zabrała dzieci ze sobą. Marcin sam został. Dopiero się zabawy na dobre zaczęły, nie mając żony, wziął sobie służącą — już żonie nie było po co wracać do domu. — A Marcin od tej chwili już do kościoła nie trafił. Niedługo trwało, gospodarstwo sprzedano. Marcin wyprowadził się do wyrobniczej chałupy. Ciężko zachorował, byłem u niego kilka razy, prosiłem, aby po żonę posłał, aby ją przyjął do domu. Ale tam już nie było żadnych prózb, żadnego przedstawienia, odkładał, wymawiał się, że nie ma co jeść dla żony, że nie wyżywi dzieci i oto dzisiaj umierał. Dreszcz mnie przejmował, kiedym do izdebki ciemnej wchodził. Na czarnym kominie palił się kawał łuczywa, dymu pełno w izbie, brudna służąca kryła się szlochając za piec, na łóżku leżał Marcin bez przytomności, jak głównia rozpalony, rozczochrane włosy, podarta, brudna koszula u szyji rozerwana, piersi gwałtownie się podnosiły, a dech szedł prędko i coraz prędzej, a głośno i coraz głośniej, oko świecące jak szkło było wlepione w belkę nad łóżkiem, ręce wyciągnięte skubały bez przytomności kozuch, którym był Marcin przykryty. Przystąpiłem do łoża, ścisnąłem chorego za rękę, pochwaliłem Boga, chory nie słyszał, oczu niezwrocił. „Cóż wam to Marcinie zawołałem głośniej. Usłyszał, spojrzal, jakby się przeląkł tak drgnął, — ale znów oczy odwrócił. „Czy

się nie będziecie spowiadać?“ zapytałem. — Nie wejrzał, tylko rękę wyciągnął z méj ręki, jakby mnie chciał odgarnąć od siebie, odwrócił twarz do ściany i powiedział ledwie zrozumiale: „jutro.“ — Stałem przy łożu, przy mnie przewodnik, co mnie przyprowadził. —

W tém drzwi od chałupy skrzypnęły, było słychać płacz rzewny. — Drzwi się otworzyły, to żona Marcina weszła i przyprowadziła ze sobą dwoje dzieci. Biada, rzewnie płacząca, kiedy mnie spostrzegła, rzuciła mi się na kolana i ręce z gorzką boleścią całując i we łzach kąpiąc, zwołała: „to on się spowiadał?“ — „Nie spowiadał się, nie, chce czekać do jutra, a tutaj śmierć przy łożku!“ — Jeszcze rzewniej płakać zaczęła, klęknęła przy łożu, chory nie widział, nie słyszał, tylko coraz więcej pierśmiami robił. — Biedne kobiecko mówiło pacierz, powstała nareszcie, wzięła Marcina za rękę, zawołała go po imieniu — Marcin spojrział po izbie, ale nic nie mówił. Naraz biedna i nieszczęśliwa żona spojrziała mu w oczy, pocałowała konającego w twarz i powiedziała mu: „Marcinie, spowiadajcie się, jest to Jegomość, bo wy żyć nie będziecie!“ — Jakby go wąż ukąsił, tak skoczył na łożu Marcin i powstał, siedzący wołając: „ja mam umierać? ja nie umrę!“ — Przystąpiłem do łożka z otaczającymi nas świadkami, i wołam na niego: „Marcinie! tu wasza żona Agnieszka przyszła i dzieci przyniosła, by się pogodzić z wami, by was pożegnać. Marcinie podajcie jej rękę, a potem pamiętajcie o Bogu, wyspowiadajcie się, bo idziecie na sąd Boży!“ —

Ledwie te słowa wymówił, kiedy chory równemi nogami z łóżka wyskoczył, odepchnął Agnieszkę, która się na niego rzuciła, kopnął dziecko, co przy matce stało, dziecko zaczęło krzyczeć, żona w głos płakała, a on jak szalony porwał się na środek izby i biegał tłukąc, łamiąc, co spotkał, a wołał: „ja nie umrę, ja niechę umierać, ja nie będę umierał, nie chcę księdza, nie chcę spowiedzi, nie chcę sądu, nie chcę Boga i nie, i nie!“ — Pobiegliśmy do niego, ja i poczciwy sąsiad, co mnie przyprowadził, uchwyciliśmy go pod ramiona i chcieliśmy go do łóżka zaprowadzić. Ale gdzież tam?..... Wyrwał się jak najsilniejszy olbrzym z rąk naszych — usiadł na skrzynce, i zaczął bluźnić okropnie przeciw Panu Bogu, że ani powtarzać tego nie mogę. — Naraz skoczył, oczy w słup wstawił, jęknął strasznie i zawołał: „przyszła po mnie! nie pójdę, nie pójdę! nie umrę.“ — Jeszcze raz jęknął, padł na ziemię jak długi — już nie żył! — Straszny, okropny koniec! — Zbito cztery deski, na sąsiada wozie wywieziono, śnieg z deszczem ciał strasznie, wiatry wyły — za wozem nieszczęśliwa żona z dziećmi i kilku krewnych szło — bez księdza — bez dzwona — bez pieśni, tylko wiatr wył i ludzie płakali. O straszna śmierć, ale straszniejszy sąd Boży. —

II.

Jeden malarz w Rzymie, bardzo już staruszek podszły, ale też bardzo pobożny, maluje śliczne obrazy. Kiedy wejrzysz na taki obraz, to jakbyś modlitwę słyszał, albo pieśń piękną albo dzwonek, co na Anioł Pański sygnuje. Nie powiem, jak się ten malarz nazywa, bobyście ani nie spamiętali, ale to powiem, że namalował raz obraz Świętego Józefa, jak umiera. Ach! jak piękna jest śmierć sprawiedliwego. Tak gdyby umierać, to choćby całe życie cierpieć! Siedzi Pan Jezus na ziemi nisko w głowach Świętego Józefa, a ten leży rozciągnięty na ubogiem posłaniu i ma głowę złożoną na łonie Jezusa, zasypia, ręce złożone, twarz spokojna, oko zamknięte, już dusza w raju; u nóg klęczy Marya ze złożonymi rączkami, pacierz mówi, nie szłocha, nie rozpacza, tylko pełna nadziei sięga duszą do nieba za Oblubieńcem. — O gdyby tak umierać! Na łonie Jezusa spocząć po trudach żywota — gdy Jezus w Najświętszym Sakramencie do łóża przyjdzie, a Marya ze mną modlić się będzie — kto by nie chciał tak umierać? Taka jest śmierć sprawiedliwego.

Widziałem śmierć takiego człowieka. Było to podczas cholery. Zawołano mnie do chorego pod wieczór w jesieni w Październiku. Wsiadłem na wózek wiejski i jadę. Wziąłem ze sobą Komunię świętą, bo mi zare-

czył doktor, który tą samą podwodą powrócił, że chory już nie będzie miał wymiotów. W takim przypadku nie możnaby dać kommunii z obawy, aby chory nie zwrócił. Przyjeżdżam do porządnego gospodarstwa we wsi za-
możnej, tuż pod miasteczkiem, gdzie wtedy przebywał. Wchodzę do izby i zastaję najpocziwszego gospodarza z méj parafii na łożu śmiertelném. Leżał już spokojny, po wszystkich boleściach, a były straszne bóle, jak mi woźnica powiadał. Na około łoża cała rodzina, żona i dwoje córek starszych i syn młodszy, najstarszy był u wojska, sąsiadów zbiegło się kilkunastu, stół był białym obrusem nakryty, paliły się świece dwie i Pan Jezus na krzyżu stał w środku, gromnica leżała — chory miał ręce zsiniałe, cały czarny na twarzy, w rękę trzymał różaniec i patrzył w krzyżyk co u różańca wisiał. A ile razy bóle go wzięły w rękach lub nogach, tyle razy westchnął, ramionami wzdrygnął, i krzyżyk do ust przycisnął. — Wyszli wszyscy, zaczęła się spowiedź; jak się spowiadał, tego nie powiem, bo nie wolno mi ani wiedzieć, ale to wam zaręczam, że się tam anieli cieszyli z takiej spowiedzi, a mnie lzy za stulę kapwały, jak groch kapwały po li-
cach i wstydzilem się, że ja grzeszny spowiadam takiego człowieka, co bez ochyby za godzinę Boga ujrzy i raj posiedzie. Skończył i uderzył się w piersi, że aż jęknął mu w ciele i ze łzą w oczach zawołał: „Boże! bądź mi-
łościw grzesznej duszy mojej.“ Odprawiliśmy razem po-
kutną modlitwę, odebrał rozgrzeszenie i ucałował mi rękę. Zadzwońtem, krewni weszli i zaczęliśmy kommunią świętą.

Dźwignął się na łożu, by przynajmniej siedzący przyjąć Pana Jezusa — w tém słońce oknem, co naprzeciw łóżka było, zajrzało do izby i oświeciło twarz chorego i głowę. Jako święty wyglądał umierający i zawołał każdego z osobna i każdemu ręce na głowę złożył — i pocieszał wszystkich, bo im powiadał, że Bóg Wielki ojcem nad nimi zostanie. — Wszyscy poklekli, pacierze mówili, jam go olejem świętym namaścił i ostatnie dał rozgrzeszenie i odpustów udzielił zupełnych i pożegnałem go i zabierałem się do domu. W tém naraz zawołał Maciej, kiedym już miał odchodzić: „Dobrodzieju! jeszcze słowo, mam się zapytać Dobrodzieja, ustąpcie nó dzieci.“ I wszyscy wyszli, jam drzwi zamknął i biorę stulę na się, bom sądził, że Maciej chce jeszcze spowiedź poprawić. Ale on rzekł: „nie, nie Dobrodzieju, to nie to, tylko mi jedna rzecz wpadła na myśl i niepokojum się nabawił, a chciałbym umierać spokojny i bez trwogi. Otoż, Dobrodzieju, wypowiadałem się, więc jestem bez grzechu i rozgrzeszenie otrzymałem i odpusty, na Msze święte, czego Panu Bogu nie wymawiam, już zleciłem gospodyni dać i do klasztornego kościoła i do fary, a że teraz już mi Pan Jezus Najświętszy pozwolił i Kommunią świętą przyjąć i olój święty, więc już mi nic nie brakuje; a chociaż człowiek był tylko grzeszny człowiek, to jednakowoż teraz za łaską Pana Boga przyjdę do nieba — więc nie wiem, Dobrodzieju, jak ja się tam mam odezwać w niebie, jak tam wnijdę.“ — Ach! ludzie moi, jak mnie się stało, gdy widział taką wiarę, taką nadzieję, i pokoju tyle

w godzinę śmierci — tego ja wam już nie powiem, ani-
bym opisać zdołał. Zimne mrówie przeszło po ciele
mojem, a dusza moja upokorzyła się aż do ziemi, jakbym
miał anioła bożego z drugiego świata przed sobą. — Za-
frasowałem się sam, jaką radę dać takiej wysoko pobo-
żnej a żywo wierzącej duszy, ale Bóg mi dał w onej go-
dzinie i powiedziałem mu: „nie frasujcie się Macieju, tylko
jak kiedy wnijdziecie do chrześciańskiego domu, powita-
cie sąsiada, tak w waszej mowie pochwalcie Pana Boga,
Bóg was zrozumie i powiedzcie, wchodząc: „Niech bę-
dzie pochwalony Jezus Chrystus.“ — Spojrzał na mnie
Maciej jakoś rozweseloném okiem i odpowiedział: „Dobrze,
Dobrodzieju, dobrze, na wieki wieków Amen.“ — To były
jego ostatnie słowa, otworzyłem drzwi, weszła rodzina,
Maciej na nich spojrział raz ostatni, westchnął — i dusza
jego już w niebie mówiła: „Niech będzie pochwalony Je-
zus Chrystus!“ — Zapewne jęj wszystkie półki anielskie
i wszyscy Święci odpowiedzieli: „Na wieki wieków. Amen“

Książd biskup Dąbrowski.

Dosyć wam wspomnieć tylko, kochani ludkowie, imię księdza Jana Dąbrowskiego, biskupa helenopolitańskiego, sufragana poznańskiego, a już sobie wszyscy przypomnicie tego niezmordowanego i nieodżałowanego misyonarza wielkopolskiego, którego nam Pan Bóg 4. Kwietnia 1853. roku przedwcześnie zabrał, a więc już siedm lat temu. Jak za ś.p. księdzem Karólem Antoniewiczem, tak téż za ś.p. księdzem biskupem Janem Dąbrowskim jeden tylko jęk bolesny przeszył serca wszystkich wielkopolan na wieść o jego śmierci. Był on najpierwszym powiernikiem i nieodstępny towarzyszem kochanego Arcypasterza naszego ś.p. ks. Marcina Dunina, i dzielił z nim wszelkie trudy, cierpienia i prześladowania rozliczne. Z polecenia tegoż Arcybiskupa ułożył ową

piękną książkę do nabożeństwa, co ją teraz tak chętnie do ręki bierzecie czy to w kościele, czy to w domu, czy w podróży, czy téż na łożu chorobą złożeni. Ten sam ks. biskup Dąbrowski napisał tyle innych pięknych książeczek dla was w języku polskim, co je z taką radością w niedziele i święta w domku waszym czytacie. Wspomnę wam tu tylko o Genowefie, o dobrym Franusiu i złym Kostusiu, o koszyku kwiatów, że tyle innych nie wyliczę. Aliści najlepiej pamiętacie wzruszające tego biskupa nauki missyjne, jakie miewał w każdym nieomal zakątku naszej Wielkopolski. Boć téż serce z radości chciało wyskoczyć albo z żalu szczerego pęknąć, kiedy ksiądz biskup Dąbrowski stanął na stopniach ołtarza z pastorałem w ręku, z infułą na głowie, w całym ornacie biskupim, a zaczął mówić do tysięcy zgromadzonego ludu wiernego. Żadne oko suchém nie zostało, łza jedna za drugą po twarzy spadała, a wzdychania szczerze wydobywały się z głębin serc wzruszonych. Najzatwardzialszy grzesznicy byli obruszeni i nawracali się do Boga. Bractwo wstrzemięźliwości szerzyło się i utrzymywało wszędzie, gdzie tylko ksiądz biskup Dąbrowski swoje prace apostolskie rozpoczął.

Owóż kochani ludkowie, ten gorliwy missyonarz wielkopolski ks. biskup Dąbrowski, co was tak gorąco i serdecznie kochał, co dla was tylko żył i pracował, aż się téż zapracował i po zapłatę za prace swoje apostolskie poszedł do nieba, ten sam ksiądz biskup Dąbrowski pamiętał o was i wtenczas, kiedy nie był między wami

na missyi, ale w skromnym domku swoim przy książce siedział. Napisał on dla was bardzo piękne rzeczy; ale śmierć go zaskoczyła, tak, że tego pisma swego nie zdążył już kazać dla was wydrukować. Aliści Pan Bóg nie dozwolił, aby tak piękny skarb w ziemi ukryty leżał. Dostały nam się w ręce te śliczne pisania ś.p. ks. biskupa Dąbrowskiego, i oto od tego czasu każemy w każdej książeczce Roku wiejskiego jedno takie pisanie tego misyonarza gorliwego dla was wydrukować. Ażebyście zaś wiedzieli dokładnie, które to pisanie w Roku wiejskim jest księdza biskupa Dąbrowskiego, więc wam zawsze z góry to drogie imię przy każdym jego pisaniu wydrukować każemy.

Więc w tej książeczce zielonoświątkowej podajemy wam wstępne jego słowa do sług pobożnych.

Pomyślność sług pobożnych.

Gdy się zastanawiamy nad światem, tak pięknie urządzonym, wystawia nam się, że on stanowi jedno wielkie gospodarstwo czyli rodzinę. Wszelkie w nim spostrzegamy potrzeby, do których zaspokojenia bardzo wiele rąk zatrudnionemi być muszą, ale też i rozmaite na nim widzimy siły, talenta i zdolności do utrzymania téj całości w porządku. Na wysokości mieszka gospodarz czyli Pan, a tym jest Ojciec Niebieski, który to wszystko tak pięknie i dziwnie stworzył, a co stworzył, to dobrotliwie utrzymuje i zachowuje swą wszech-

mocnością, dobroczynną zaś dłonią rozdziela swe dobra między wszystkich domowników. Z niedościgłych przecież wyroków swojej mądrości tak go urządził, iż nie wszyscy wszystko mają; tak swoje dary i dobra podzielił, że w nich ten i ów mniej od drugiego otrzymał, a następnie zawsze jeden drugiemu może coś ofiarować, i nawzajem co innego od tegoż otrzymać. Przez to wzajemne dawanie i branie tak ludzi między sobą połączył, że wszyscy bez wyjątku w czasie téj krótkiej życia podróży winni jeden drugiemu ręce czyli pomoc podawać. Przeto téż Syn Boży, nasz Zbawiciel Jezus Chrystus między przykazaniami, które nam z nieba przyniósł główném i istotném uczynił prawo miłości, chce tego, abyśmy się wzajemnie serdecznie kochali, a tém samym otrzymanemi od Niego darami innym służyli; gdy to czyniem, wtedy niezawodnie podobamy się Bogu. Prawda, że w tém wielkiém gospodarstwie tego świata nie wszystkie zatrudnienia są równie ważne i w oczy bijące; ale nie masz żadnego, któreby było mało znaczącém dla Niego. I najmniejszego robotnika uważa najlaskawszy gospodarz; wszystkich zostających w jego służbie kocha serdecznie, kiedy tylko wiernie i sumiennie dopełniają obowiązków swego powołania; a ci, co są dobrego serca z zupełną pewnością mogą się spodziewać jego pomocy, i nie tylko uważać go jako swego Pana, ale nawet jak Ojca, a Ojca jedynego i najlitościwszego, który się troskliwie stara o wszystkie swe dzieci;

po ukończonėj zaś wiernie i pilnie swėj pracy chce ich wziąć do siebie do lepszego świata.

Kochana czeladko! w tém wielkiém gospodarstwie świata i dla ciebie jest miejsce zostawione i wskazane; na usłudze drugim, w służbie u tych, którzy waszėj pomocy i sił potrzebują, macie pracować, lecz nawzajem od nich otrzymać za to żywność i zapłatę, a przytém za waszą rzetelność, pilność i przywiązanie niejedno jeszcze wynagrodzenie. Prawda, że nie jest przyjemnie i łatwo zostawać w służbie między obcymi ludźmi, nieraz daleko od swego rodzeństwa i domu, ale to was bynajmniej nie powinno zasmucać. Bo to wiecie dobrze, że sam Bóg miłosierny z niedościgłych swoich wyroków rozmaite stany ludzi na ziemi postanowił: przeto ten świat nie mógłby się utrzymać i ostać, gdyby wszyscy chcieli być bogatymi i tylko panami. I Pan Bóg nie patrzy na stan, w którym się kto znajduje, lecz na wierność, z jaką wykonywa powinności swego stanu. A gdy dla nas nadejdzie ten ostatni wieczór spoczynku, wtedy przeniesiemy się do tego świata, gdzie już nie masz żadnej różnicy osób, i gdzie żaden stan mieć nie będzie pierwszeństwa, lecz każdy otrzyma nagrodę podług uczynków, jakie tu w życiu swoim na ziemi wykonywał.

Dobry, religijny służący nigdy się nie żali na nierówność stanów, owszem to myśli i czuje w swém sercu: „Gdy Najmędrsza Opatrzność postawiła mnie w stanie sługi, przeto chętnie chcę w nim żyć i pracować; bo co Bóg czyni, to jest zawsze dobrze. Służba nie

czyni nikomu żadnej zakały i plamy, dopóki sługa przez swoje dobre sprawowanie się, pilność i wierność czyni ją czcigodną. Stopień godności najwyższy nie może się utrzymać i ostać bez najniższego. Nigdy więc w mym stanie przykrzyć sobie i na moje przeznaczenie narzekać nie będę, boby to było jedno co przyganiać najmędrszym rozporządzeniom Boga: owszem kontent będę z mego położenia, w którym mię postawiła Opatrzność i nie dla tego tylko pracować, że na mnie ludzie patrzeć będą, lecz raczej dla tego, że na mnie Bóg patrzy, w którego obliczu zawsze jestem i z którego woli zostaję w tym stanie. Cóż mię to ma obchodzić i smuć, że są inni wyżsi nademnie? I w moim ubogim i niskim stanie jestem człowiekiem mającym tę piękną nadzieję i przekonanie wewnętrzne: że przez moją pilność, pracowitość i posłuszeństwo nietylko u Boga, lecz i u ludzi zyskam szacunek i miłość.“ — Tak myśli dobry służący, a ufny w Bogu wiernie powinności swoje wypełnia, i wśród wesołej myśli przy pracy nieraz sobie w pobożnym uczuciu śpiewa:

Urodzenie, majątek nie jednego dziwią,

Człowieka przecież trwale te nie uszczęśliwią.

Spokojności zarodem, i szczęścia istota,

Nie pieniądze i godność lecz prawdziwa cnota.

Użyj tego na dobre, co Opatrzność daje,

A chętnie odmów sobie, co ci niedostaje.

Stan każdy ma swe *ale*, ma swoje ciężary,

Ma pociechy czasami, i przykre ofiary.

Kto pilny, pracowity, Bogu się oddaje,
Ten pokoju w swém sercu i szczęścia doznaje.
Ten cieszy się nadzieją: że kiedyś na wieki,
Złączy się z Tym, którego dziś wzywa opieki.
Tak bez wszelkiego względu na swe położenie,
W każdym stanie znajduje swe uszczęśliwienie.
Ten tylko sposób życia szczęście w dobrych rodził,
Spraw to swą łaską Boże! bym tą drogą chodził.

Nikt o tém niewątpi, że każdy stan ma swoje przykrości i ciężary; ale téż i każdy ma swoje pociechy i przyjemności. Nie masz między wami żadnego, któryby nie znał pracy, trudów i przykrości służebniczego stanu; ale może nie wielu jest takich, którzyby znali pociechy i przyjemności tegoż stanu, a tych przyjemności jest bardzo wiele. Nie jestże to pociechą mieć prawdziwe wyobrażenie swego stanowiska na świecie, znać godność i wartość swych obowiązków, jakie dobry służący mieć powinien? Nie sprawiaż to pociechy jako chrześcianowi, gdy we wszystkich rzeczach godziwych podlega zwierzchnikom; uczy się w służbie przełamywać swoją wolę, a u państwa zasługiwać na miłość i szacunek? Alboż i to nie sprawia pociechy, mieć żywność i utrzymanie bez trosków i kłopotów? w ciągu służby nabyć wiele wiadomości, których w dalszém życiu z wielkim pożytkiem użyć będzie można? Nie jestże to pociechą być wiernym przełożonym; pociechą w szczęściu i niedoli nawet przy śmierci — przyczyniać się przez swoją pilność, przychylność i zręczność do szczęścia i dobra drugich?

Nie jestże to pociechą nosić w głębi serc swoich tajemnice swych przełożonych, i ciągle doznawać tego zaszczytnego świadectwa sumienia, iż się stał godnym takiego zaufania, że go wyjawieniem i gadatliwością nie zdradził? Nie jestże pociechą, wesoło i z ukontentowaniem, wśród spokojności wewnętrznej, tego boskiego pokoju duszy, dzień przy dniu pilnie rozpoczynać i kończyć swe dzienne prace? Nie jestże to pociechą, utrzymywać wszędzie porządek i ochędostwo w domu i na polu, aby się oko wszędzie z upodobaniem zabawić mogło? Nie sprawiaż to pociechy, swoją uprzejmą nauką, przestrogą i pięknym przykładem dzieci domu, te drogie dary Boga, chować i utwierdzać w Jego świętej bojaźni? — podawać pomoc biednym, cierpiącym, chorobą złożonym, pielęgnować je z przywiązaniem, z chrześcijańską wiernością i troskliwością, doglądać i usługiwać? — Nie jestże to wielką pociechą, żyć w zaciszu wesoło w świętej skromności dla siebie i swego powołania, a przez swoje dobre zachowanie się, budujące obyczaje i uczciwość odznaczać się ciągle? Nie jestże pociechą, w godziny wolne i orzeźwienia, zamiast niebezpiecznego przestawania się z osobami innej płci, oddać się czytaniu dobrych książek, rozwadze samotnej pięknych dzieł Boga, przestawaniu z światłymi i świątobliwymi ludźmi, a tym sposobem postępować w oświecaniu umysłu i ulepszeniu serca? Nie jestże to pociechą zbierać sobie przez oszczędność jakowy zasób na wiek podeszły, aby go można z pokojnością umysłu o-

czekiwać? Nie jestże słodką pociechą, nosić ciągle w swoim sumieniu przekonanie, że uczciwym i wiernym, posłusznym i pilnym był zawsze w swój służbie z miłości Boga, a cóż dopiero, gdy przy końcu życia będzie mógł mówić: „Za pomocą Boga ukończyłem szczęśliwie me prace!“ — Uważajże luba czeladko! jak wiele błogosławieństw i pociech zawiera się w twém powołaniu! Służący albo służąca, która zna konieczność i wielką wartość swojego stanu, a przytém stara się czuć pociechy z nim połączone, jest prawdziwém błogosławieństwem familii, w której się znajduje, i nie jedyniej familii tylko, lecz całego towarzystwa ludzkiego jest prawdziwym skarbem; takowego pamiątka trwać będzie zawsze w błogosławieństwie. —

Spostrzegacie dość wielu współników i towarzyszków w swym stanie, którzy się nieszczęśliwymi czują w swém powołaniu, idą złemi drogami, i winnymi się czynią słusznych narzekań dla swój niemoralności, nieposłuszeństwa, niewierności, marnotrawstwa i niewiedomości. — Nieszczęśliwi nieznają ważności swojego stanu, niepoddają się mądrym rozporządzeniom Stwórcy, który rozmaicie swe dary i łaski podzielił, wstydzą się swego stanu, a słuchając poduszczeń własnej miłości, pragną wyższego stopnia od tego, na którym ich postawiła Opatrzność, przeto z odrazą poglądają na swój stan służebniczy, dają się zaślepiac podłemi przesądami nierozumnych ludzi, chybiają swego celu, i całe swe życie, dreczą się zazdrością, nieukontentowaniem, niechęcią i smutkiem.

Gdyby w chrześcijańskim duchu zastanawiali się nad swoim stanem, tedyby uznali jego prawdziwą wartość i niezliczone z nim połączone pociechy, i chętni szliby za świętym głosem i wezwaniem Boga, a przez wierność i posłuszeństwo, pracowitość i ukontentowanie z swego położenia umieliby zasłużyć sobie na łaskę u Boga, miłość i szacunek u wszystkich dobrych ludzi. —

Nie przykrzyj sobie luba czeladko, owszem bądź kontenta ze stanu, w którym cię Bóg postawił! bądź zawsze rzetelną i wierną tak, jak z świętych rozporządzeń Boga być winnaś, a wtedy możesz być pewną, że każdy rozumny człowiek tym wyżej szanować cię będzie jako uczciwych, dobrych sług, im rzadziej takowych znajdujem. Każdy dobry człowiek jakiegokolwiek stanu i godności z pociechą i ukontentowaniem wśród błogosławieństw poglądać na was będzie, gdy wasze powinności punktualnie wypełniać, pilnie, posłusznie, wiernie, chętnie, uczciwie i wesołoienne prace wykonywać, a następnie prawdziwemi wzorami cnotliwych sług będziecie. Gdyby nawet ludzie na was nie zwrócili uwagi, to ten Ojciec, który widzi w skrytości, tym troskliwiej uważać was będzie, i gdyby ludzie waszej wierności szanować nie umieli i nieuznali jój na téj ziemi — błogo wam przecież, którzy w cieniu domowego życia, przez skromną dolinę upokorzenia, przy niepozornych ćwiczeniach szlachetnej wierności powołania, zbliżacie się do nieba — Bóg wam to jawnie nagrodzi, coście tu

w utajeniu lecz sercem przejętém miłością czynili, a wasza nagroda wielką będzie w niebie.

Jeżeli chcecie wzbudzić szacunek ku waszemu stanowi, odznaczyć się od innych i być uczciwymi, rzetelnymi i z serca dobrymi sługami, tedy zatrzymajcie wierne w umyśle i sercu ważne słowa ś. Pawła Apostoła, dotyczące sług. Tak do was przemawia Apostół św.: „Słudzy bądźcie posłuszni we wszystkiém waszym Panom cielesnym nie dla oka tylko służąc, i przypodobania się ludziom, lecz w prostocie serca, z bojaźni Pańskiej — wszystko, cokolwiek czynicie, czyńcież z serca jako Panu, a nie ludziom. Bo wiecie, że od Pana odbierzecie w nagrodę dziedzictwo. Służcież Chrystusowi Panu.“ Kolos. 3. 22 — 24.

Przeto tenże sam ś. apostoł wzywa nas, żebyśmy mocno zalecali służącym: aby swemu państwu byli posłuszni, we wszystkiém podlegli, a w niczém sprzeczni, aby ich w niczém nie oszukiwali, nie krzywdzili, lecz we wszystkiém odznaczali się wiernością i poczciwością, iżby wszystkiemi swemi sprawami zdobili, i cześć wyrządzali nauce naszego Zbawiciela. Tyt. 2. 9 — 10. A na inném miejscu mówi: „Každy za swoje dobre uczynki odbierze od Pana swoją zapłatę, czy on jest sługą, czy wolnym.“ Efez. 6, 8.

A choć narzekanie na zepsucie obyczajów jest powszechném, i tyczy się prawie wszystkich stanów, w każdym przecież są jeszcze ludzie wierni Bogu i swój powinności. Wydają się oni jako płodne, owocem obciąż-

żone drzewa na obszernych, spustoszałych odłogach zaniedbanego pola wśród zakrzewionych ostów i zielska; tak się przyjemnością odznaczają, i jakby świetnym blaskim jaśnieją jako światło pośród ciemnej nocy. A gdy na tych szlachetnych ludzi patrzymy, ich widok tak nam przyjemny, że serce rozrzewnia, ich sposób myślenia szlachetny, ich sprawy wzorowe zbyt czule i dzielnie bez ust przemawiają, i właśnie upominając nas pobudzają, abysmy podobnie czynili. Cieszcie się więc słudzy Boga i ludzi! bo i w waszym stanie jest jeszcze wielu dobrych. Z ukontentowaniem i serdeczną pociechą chcę wam wymienić owe zarysy z życia dobrych sług, które tu i owdzie w dobrych książkach rozrzucone znalazłem i dla was, w jedno zebrałem. Czytajcie z uwagą te powieści; z przywiązaniem zapatrujcie się na te miłe obrazy, które wam za wzory do naśladowania służą; a w rozmaitych położeniach, w których was stawia wasz stan, wstępujcie w ślady tych dobrych, i sami stawajcie się dobrymi i szlachetnymi, a gdy aż do końca dotrzwacie dobrymi, wtedy niezawodnie czeka was wielka nagroda i tu i w niebie. „Idźcie i czyńcie podobnie,“ mówi Jezus Chrystus w Ewangelii ś. Łukasza 10, 37.



Nieludzkość, czyli brak miłosierdzia, Bóg zwykł najczęściej natychmiast karać.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Razu jednego opowiadano mi następujący wypadek, za którego prawdziwość ręczyła mi sumiennność opowiadającej osoby.

Wieczór się zbliżał; — suche, pochmurne i parne powietrze, ów niewątpliwy zwiastun burzy, odbierało resztę sił pracującym robotnikom w polu, którzy z swęj strony przewidując bliskość burzy, usilnie spieszyli się zgromadzić do stodołek tę część zboża, którą sucho aż dotąd zdołali w mędele zebrać. — W polu ruch ludzi i wozów był wielki, — jedni próżnemi wozami spieszyli po zboże w pole czwałem, drudzy z naładowanemi zdążali ku wsi kłusem; — gdy tymczasem na łąnach liczna czeladka w różnych oddziałach chożo jak mrówie uwi-

jała się z snopkami, znosząc je spiesznie i układając w mędele.

Cisza w naturze była wielka; — tylko jaskółka kiedy niekiedy uderzając piersią w powierzchnią jeziora, rozbijała jego zwierciadlaną gładkość. — Drogą ku wsi Sroczewu zdążał w tym czasie ubogi starzec, krok jego był chwiejącym; — parne powietrze, kalectwo i siedmdziesiątków lat, które na sobie dźwigał, wyczerpywały te resztę sił, któremi jeszcze mógł rozrządzać; — co chwila odpoczywał on, i znów ku wsi zdążał; — pragnął bowiem przed burzą, która zdawała mu się jeszcze być niedość bliską, — przejść wieś Sroczewo i za nią bór przyległy, aby w drugiej wsi za borem mógł u znajomych przenocować.

Przyszedłszy do Sroczewa, odpoczął przy pierwszej chałupie, i potem szedł wolno od domu do domu, prosząc o wspomnienie. — Na samym końcu wsi, wychodząc z ostatniej chałupy, zobaczył nad borem, przez który miał przechodzić na nocleg, czarną chmurę, — z której grzmot przeraźliwy, poprzedzany krzyżującemi się błyskawicami, kiedy niekiedy słyszeć się dawał. — Starzec od razu spostrzegł, że tego boru przed ową burzą nie przejdzie, i że z nią albo w boru albo przed borem jeszcze spotkać się koniecznie będzie musiał. — Strach go ogarnął na myśl niebezpieczeństwa, którym mu burza groziła, — lękał się bowiem pioruna, ulewy, lub gradu; — wrócił się więc na powrót do chałupy, z której był dopiero co wyszedł, prosząc usilnie gospo-

darstwa, aby przez wzgląd na nadchodzącą burzę raczyli go u siebie przenocować. — Ci przecież w żaden sposób do jego prośby przychylić się niechcieli, tłómacząc się, że nie mają go gdzie umieścić. Czy tłómaczenie ich było prawdziwe, Bóg sam tylko wiedział; — biedny starzec gorzkiemi zalawszy się łzami, wyszedł ze wsi pomału na przeciw srożącój się coraz bardziej burzy; — ledwie atoli staj parę od wsi ubiedz zdołał, gdy deszcz ulewny wśród grzmotów i piorunów zastąpił mu drogę, i z całą gwałtownością spadł na jego głowę. — Starzec pochylony, szedł wolno wśród fali, odmawiając z gorącą wiarą głośno ów psalm tak u nas znany: „*Kto się w opiekę poda Panu swemu.*“ — Gdy wśród téj modlitwy piorun z przeraźliwym trzaskiem przebiegł nad jego głową; starzec potoczył się i upadł na ziemię; — wkrótce atoli przeraźliwe krzyki ludzi, dochodzące go od strony wsi, z którój wyszedł, wyprowadziły go z osłupienia; — podnosi się więc, i spojrzawszy w tę stronę, widzi wieś całą w ogniu. — Wraca się przeto, i gdy się ku wsi bardziej zbliża, przekonywa się wreszcie, że nie cała wieś, jak mu się z dala zdawało, lecz właśnie ów dom ostatni we wsi, w którym przed chwilą odmówiono mu noclegu, Bóg nawiedził piorunem, i cały w ogniu gorę. — Starzec przyszedłszy na miejsce, stanął naprzeciw dopalającego się domu, którego ludzie w skutek przesądu ratować nie śmieli; — i otoczony gronem różnych niewiast, przypatrujących się ogniewi, spuściwszy smutnie głowę ku ziemi, rzekł do

nich temi słowy: „Skryte są sądy Boże — Bóg w wielu razach czeka cierpliwie nawrócenia człowieka i zatrzymuje swą karę; — ale przekonałem się w życiu mojem więcej jak sto razy, że nie ludzkość, brak miłosierdzia i sobkostwa natychmiast karze.“ Tu opowiedziawszy owym niewiastom, jak przed chwilą właściciele palącego się domu odmówili mu w nim noclegu, i jak na jego łązy gorzkie najmniejszego nie mieli względu, pożegnał je, i ożywiony świeżem balsamicznem powietrzem, jakie po każdej u nas burzy zwykło bywać, w dalszą ku borowi puścił się drogę.

Zdarzenie to upowszechniło się w krótkce w całej wiosce, i potężnie wpłynęło na zmianę serca i sumienia pogorzalców, którzy od owego czasu głęboko przekonani, że ich Bóg za okazaną starcowi nieludzkość tak surowo ukarał, postanowili najuroczyściej oboje, nigdy odtąd żadnemu nędzarzowi nie odmówić w swym domu przytułku i wsparcia.

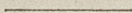
W rok po tym wypadku widziano w miejscu spalonego domu nowo wybudowany bardzo porządny domek: sływał on na całą okolicę i słynie może dotąd z gościnności i miłosierdzia, jakie w nim okazują ubóstwu, kalectwu, starości i nędzy.

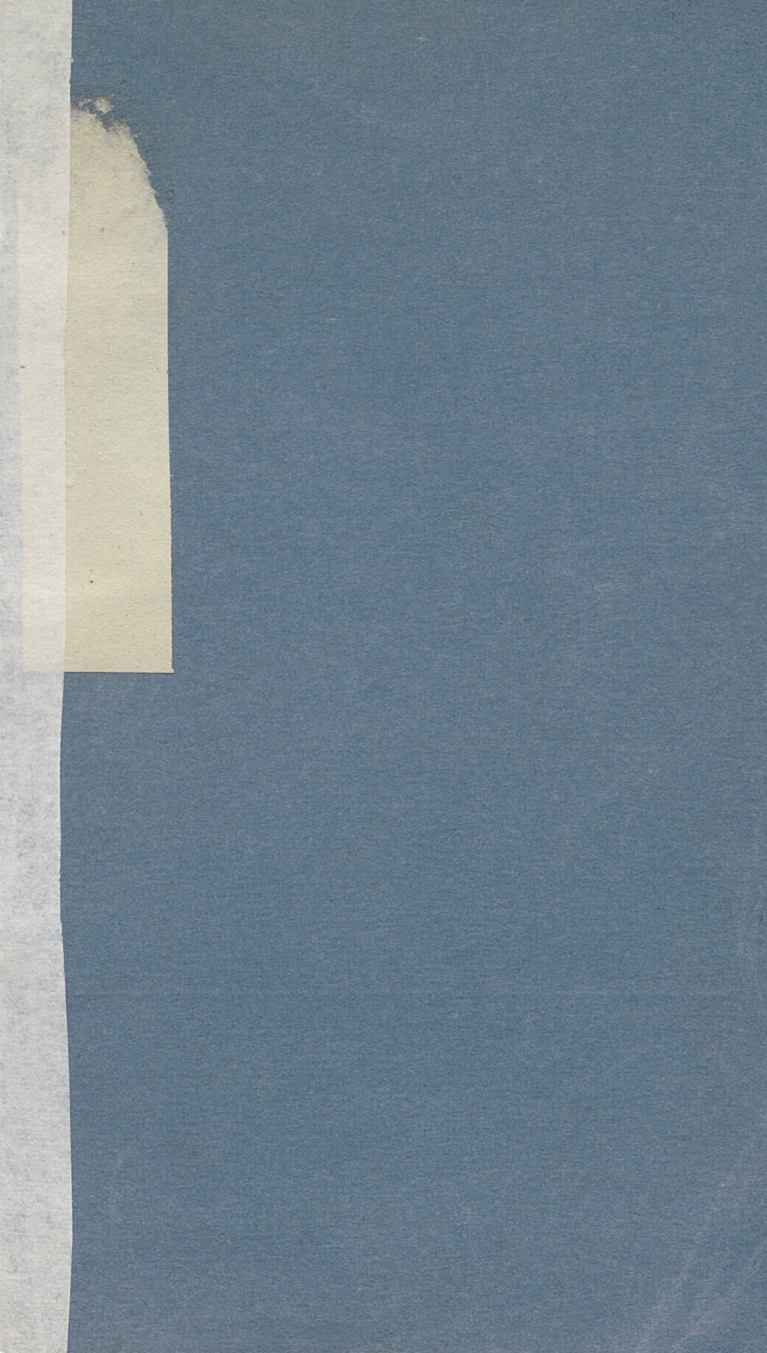
Jakżeby to było lepiej na świecie, gdyby wszyscy ludzie, jak owi wieśniacy w Sroczewie, chcieli raz uwierzyć w tę prawdę, że bez miłości i poświęcenia się dla drugich nie można być dobrym chrześcianinem, a tym mniej dobrym katolikiem; — że każde nieszczęście, ja-

kie Bóg na nas zsyła, jest karą za grzechy nasze, i napomnieniem, byśmy się od nich w przyszłości umieli wstrzymywać; — gdyby umieli się oni sami osądzić, i nie odzywali się do Boga w każdym ucisku owemi bluźnierczemi słowy: „Boże! za cóż mnie karzesz! — cożem Ci winien? wszak nie zabijam, nie kradnę?“ — jak gdyby tylko temi dwoma zbrodniami można Boga na siebie obrazić! Wreszcie gdyby uwierzyli w tę prawdę, że prędzej Bóg po trzykroć da się przebłagać za grzech, którego człowiek względem Niego się dopuści, jak raz jeden za grzech, którego się dopuści względem bliźnich. — W ówczas każdą karę, którąby Bóg na nich zesłał, uważaliby za napomnienie i wnet jak nasi wieśniacy w Sroczewie zdołaliby zatrzeć w sobie błąd serca i okazaliby widoczną poprawę. —

Spis rzeczy.

Na początek	str. 1.
Boże Ciało	6.
Święty Wojciech	20.
Starodawne przysłowia o lenistwie i pracy	52.
Domek Najświętszej Panny	58.
Zródło	61.
Boża-Męka	63.
Przy łożu śmiertelném	68.
Ksiądz biskup Dąbrowski	79.
Nieludzkość, czyli brak miłosierdzia, Bóg zwykł najczęściej natychmiast karać	91.





R o k w i e j s k i

wychodzi w nieoznaczonych odstępach, odpowiednio znaczniejszym świętom. Każdy pojedynczy poszyt obejmuje sześć arkuszy druku i kosztuje 15 gr. pol. ($2\frac{1}{2}$ sgr.). Zapisywać się można u księży proboszczy, których się uprasza, aby raczyli rozpowszechniać pismo i być pośrednikami między swemi parafianami a wydawcą.

Wszystkie przesyłki do redakcyi Roku winny się uskutecznić franko, albo pod adresem księgarni Langego w Gnieźnie, albo wprost do księdza Hilarego Koszutskiego, proboszcza w Mielżynie pod Witkowem.

Redaktorowie: Ks. H. Koszutski w Mielżynie, E. Bojanowski w Grabonogu.